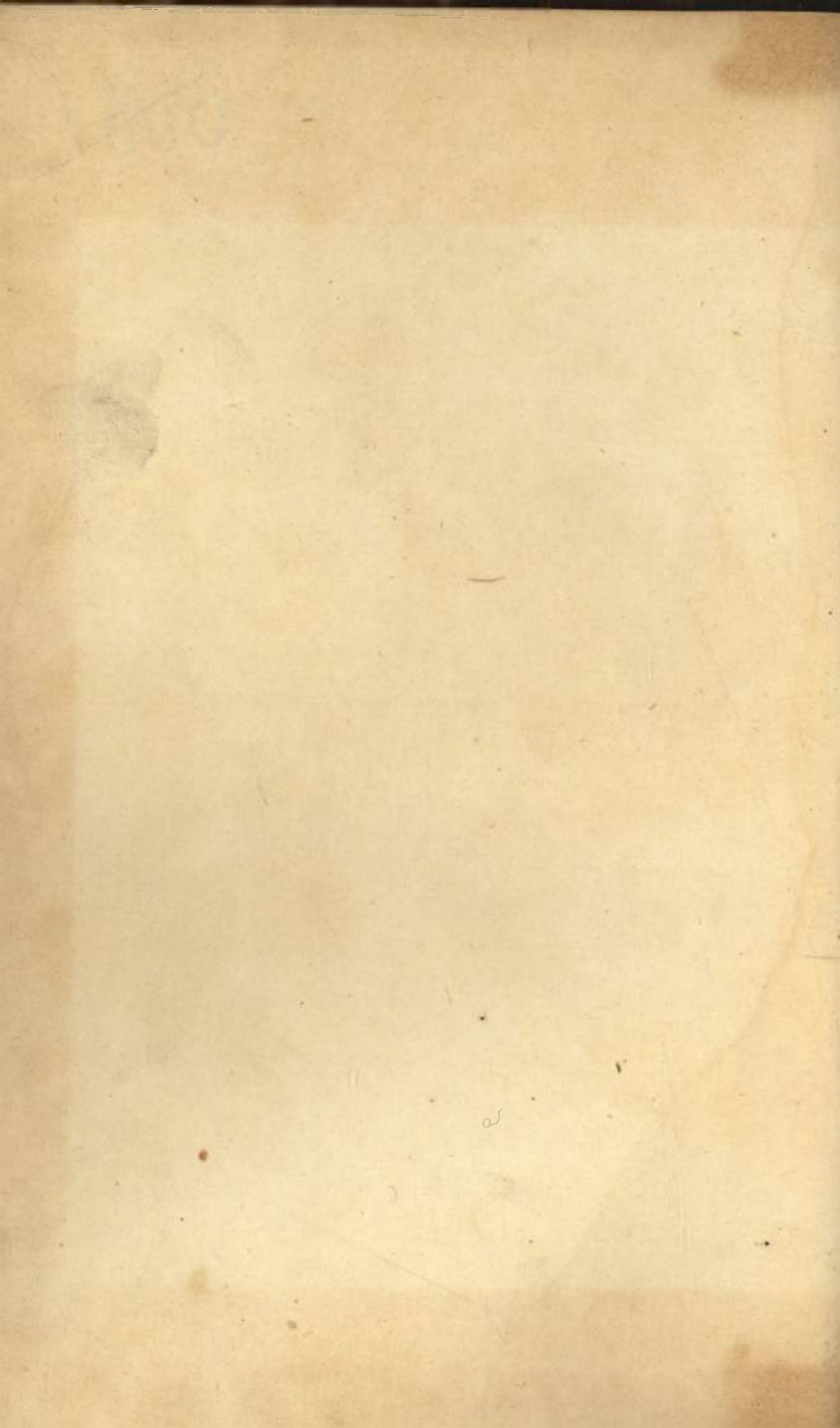




~~6061~~

20. —

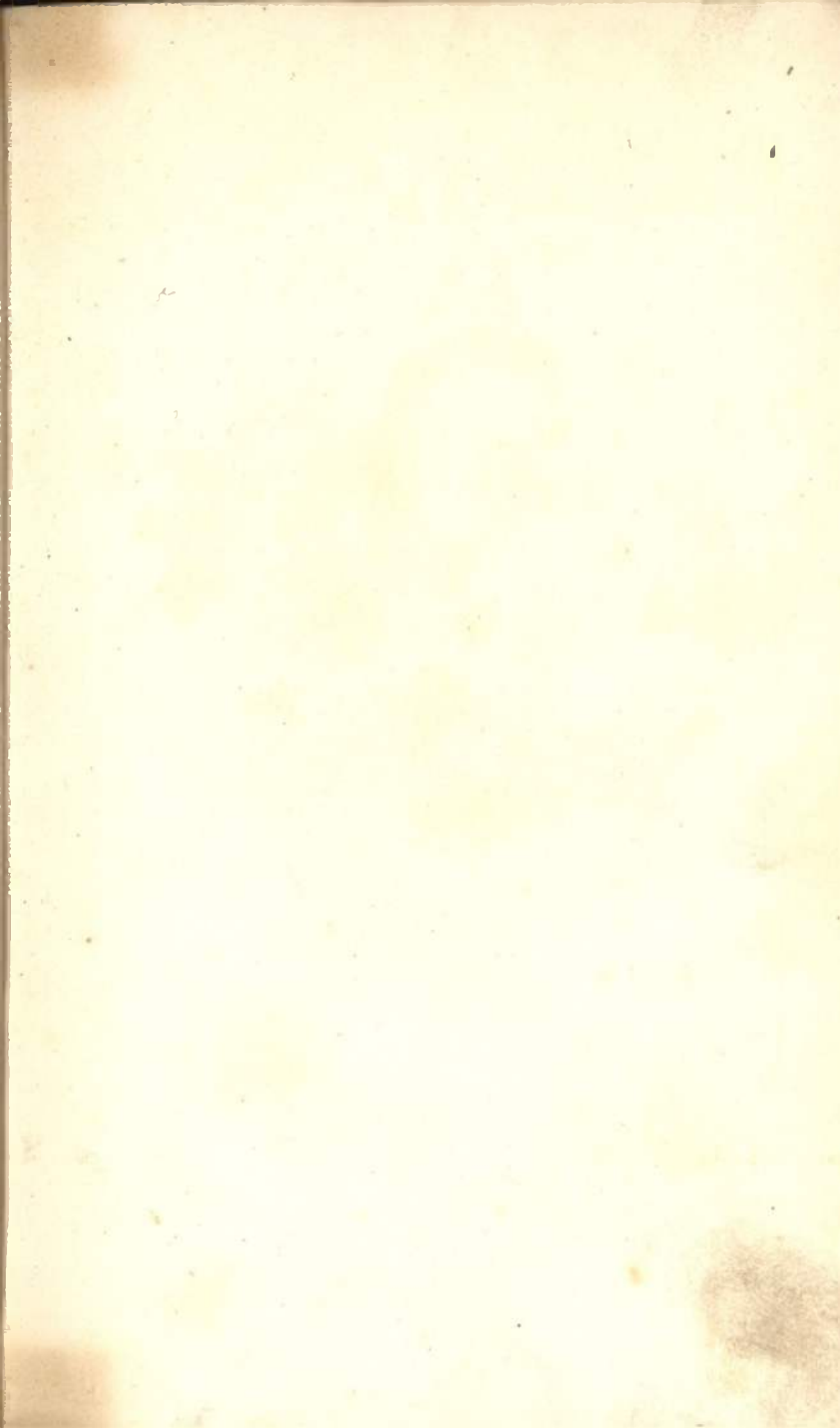


6061

POEZYE OSTATNIEJ GODZINY.

1202

POEZYE OSTANNELJ GODNYJ





W. S. Lyndon



133p95.

# POEZYJE

## OSTATNIEJ GODZINY

WŁADYSŁAWA SYROKOWICZA

(Ludwika Kondratowicza).

Z PORTRETEM AUTORA.

*Wydawca: Stanisław Baran*

WARSZAWA.

WYDAWCA: GUSTAW SENKOWALDA

przy ulicy Miodowej Nr. 431 (2 nowy).

1862.



W. S. G. G. G.

*[A large, decorative flourish or signature stroke extending from the text above.]*

133p95-

# POEZYE

## OSTATNIEJ GODZINY

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI

(Ludwika Kondratowicza).

Z PORTRETEM AUTORA.

WARSZAWA.

NAKŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA

przy ulicy Miodowej Nr. 481 (2 nowy).

1862.

A-11222

**Biblioteka  
U.M. S.**

Wolno drukować : warunkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby  
egzemplarzy.

Warszawa dnia 22 Sierpnia (3 Września 1862 r.)

Cenzor Stanisławski.

Gelesian Bank

K. 239/56/107



1000171573

SŁÓWKO WSTĘPNE.

Gdy złożony już chorobą, która go nam zabrać miała, Wł. Syrokomla zamierzył wydać te poezye; nikt z nas cośmy serdecznie ku temu dopomódz pragnęli, nie przeczuwał że książeczka ta wyjdzie na świat, gdy jego na świecie nie będzie.

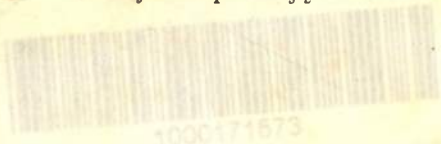
Zbiorek ten, który był jakby świadectwem odzycia, nowych sił i nadziei, stał się pogrzebową pamiątką. Wł. Syrokomla troszcząc się nim jak ostatniem dziecięciem, dosyłał do niego niewydane swe poezye i rozproszone a mało znane urywki, chciał ko-

niecznie dorobić wierszem wstęp który na dni kilka przed śmiercią nam przysłał. Myśl w nim poczciwa, serdeczna, ale znać już to wycieńczenie i zmożenie ostateczne, które mu dech zabijało. Spiewak uderza w struny, i dźwięku z nich dawnego dobyć nie może, dłoń mu drętwieje.

Kilka tylko wierszy początkowych dać tu z niego możemy, jako ostatnią myśl poety:



zujny grajek przy lutence,  
 Z czeczotkowym kijem w ręce,  
 Od komina do komina,  
 Swą wędrówkę rozpoczyna.  
 Czy w karpacki szczyt Łomnicy,  
 Czy w podolski łąn pszenicy,  
 Czy w kijowskiej stariej ławrze,  
 Ze świętami w grób się zawrze...  
 Czy u Gopła stojąc toni,



Po Kujawach okiem goni ...

Myślą goni jeszcze dalej...

Zawsze bardon ma strojony,

Wedle czasu, wedle strony,

Gdzie pogościć pragnie dłużej,

Gdzie z sandałów pył okurzy....

. . . . .

W ostatnich wierszach których tu nie przywodzimy, znać już mrok grobowy schodzący na jego powieki.

Chciał żyć, pragnął pracować jeszcze, ale dane mu było tak zgasnąć wcześniej, jak wielu wybranym, którzy w rozkwicie samym zamilkli. Bóg chciał by talent ten nie zużył się na powszednie roboty, na drobnostkowe codzienne prace dla chleba codziennego, aby został cały świeży i młody w pamięci ludzi.

Nie potrzebujemy tu zapisywać z jakim uczuciem przyjął kraj cały wieść o zgonie poety, jak serdeczne odezwały się głosy ze wsząd, jak Litwa rodzinę jego i grób otoczyła czułą, braterską opieką. Wart jój był Sy-

rokomla, i zasłużył na nią nietylko talentem niezaprzeczonem, ale najpiękniejszą duszą, której tylko zbytek dobroci, zbytek wiary, zbytek idealnych pojęć, o nieidealnym wcale świecie, zarzucić było można.

Krytyka, której grób świeży zamknął usta, znajdzie zapewne wiele do zarzucenia poecie, bo tu dosyć jest mieć wola, aby módz; któż nie jest krytykiem, byle chciał? ale przyszłość sprawiedliwsza od terażniejszości przyzna mu jeden z najrzadszych darów—połączenie uśmiechu ze łzami, które stanowi charakter wszystkich dzieł jego. Rzewny i wesół zarazem Syrokomla, przy każdej łzie mieści uśmiech, każdy uśmiech ozłaca łzą cichą.

W zbiorze tym, któremu daliśmy tytuł *Poezji ostatniej godziny*, piętno to widoczniejsze jest niż w innych może, bo poeta wyrabiał się coraz silniej w tym kierunku i charakterze sobie właściwym.

*Melodye z domu obłąkanych*, ustęp z *Dzielniczego wieczoru*, należą do najpiękniejszych utworów Syrokomli.

d. 28 Października 1862 r.

Warszawa.

J. I. Kraszewski.



## MELODYE Z DOMU OBŁĄKANYCH.

### I.

**J**a jestem panem całego świata.  
Co chodzi, pływa, czołga się, lata,  
Niebo i ziemia— to wszystko mojej!  
Ja się ich stracić nie boję! . . .  
Bo jasne niebo kluczem zamknąłem,  
A ciężką ziemię sznurami spiąłem;  
Klucz do kieszeni— a końca nici  
Już z mojej ręki nikt nie wychwyci.  
Ludzie i duchy! siedźcie jak w norze!  
Ani mi pisnąć, broń Panie Boże!

Bo tak się skrzywię, tak tupnę nogą,  
Ze popadacie przejęci trwożą!  
Niech będzie cisza! — bo mię sen mroczy,  
Przygaście słońce, bo kole w oczy,  
A gdy zawiele blasku w przestrzeni,  
To mu ogólcie głowę z promieni,  
Jak ogolono mnie moją głowę,  
Za to zem rzucał światło różowe.

## II.

Patrzajcie! szatan wskoczył do pieca!  
 Jak się masz kumie?  
 I skrzydełkami ogień podnieca,  
 Jak tylko umié.

Jakąś miksturę gotuje światu,  
 Z opium i maku;  
 Dodał krwi trochę dla aromatu,  
 I łez dla smaku!

Z francuzkich gazet dodał musztardy,  
 Z niemieckich— kwasu,  
 A z nadtybrowych— trochę pogardy  
 Dla ducha czasu.

Zlał do butelki, zatknął miksturę,  
 By nie uciekła,—  
 I pozasmolał całą jej górę  
 Smołą, aż z piekła!

Dał sygnaturę— na jej papierze  
 Pisz te słowa:  
 „W sto lat trzy razy niech ludzkość bierze,  
 A będzie zdrowa.“

## III.

**List przy odesłaniu książek.**

Dzięki tobie, panie bracie,

Za poważne twe księgi!

Lecz ja w świecie i w méj chacie,

Dość mam mitregi!

Jak poważnie czoło mroczy,

Rozwieszona wszość chmura!

Jak poważnym chodem kroczy

Pan urzędnik do biura!

Jak chce dziewic orszak liczny

Dać powagi oznakę

Jak poważnie stróż uliczny

Sypie z rożka tabakę!

Ptak indyjski spuścił skrzydła  
 I spoważniał u płotów;  
 Ta powaga tak mi zbrzydła,  
 Żem przeklinać ją gotów!

Okazałość uroczystą  
 Tak dziś wszystko przybrało,  
 Ze już wolę łyzy na czysto,  
 Niż tę nudę wspaniałą.

Bóg-że wie co będzie dalej?!  
 Smutna dola jest nasza!  
 Łza przynajmniej serce pali,  
 A powaga je skwasza.

Patrz, jak śmiesznie naokoło!  
 W ludziach, w celi, na dworze,  
 Przyślij książkę mi wesołą,  
 Co się uśmieć pomoże.

Aby myśli zbić siéroce,  
 Co mi więcej po głowie,  
 Jak szalony pochycoę,  
 To mi będzie na zdrowie!

Śmieć się każdy bez różnicy:  
 I pismaki, i ptaki,  
 Śmieć się stróżu na ulicy  
 Z twoim różkiem tabaki!

Niech się w świecie śmiech rozbudzi,  
 Wszak niebraknie sposobów!  
 Śmieć się— mogiły z ludzi,  
 Ludzie! śmieć się z grobów!

Śmieć się góro! śmieć się chmuro!

Niech zahuczy swawola.

Lesie! nie płacz tak ponuro,

Śmieć się z łąki i pola!

Jedni z drugich—wszystkim, wszędzie,

Niechaj śmiech się udzieli!

Niech wysoko słyhać będzie,

Jak my tutaj weseli!!—

## IV.

Chodź panie doktorze! wszakże was uczono,  
     Mineralogii!  
 Patrz na te paciorki, co mi zawieszono  
     Na choréj méj szyi!  
 Twarde jak dyament, a błyszczą jak słońce,  
     A czyste jak wodą,  
 Od blasków tęczowych, tysięcy tysiące  
     Co chwila się doda.  
 A w środku paciorki kropelka czerwona,  
     Jak główka od szpilki;  
 Przelewa się, błyszczy i mieni się ona  
     Od chwilki do chwilki.  
 Od każdéj paciorki woń płynie tak dzielna,  
     Że jesteś jak w niebie;  
 Do ust jéj nie kładnij, bo gorycz piekielna  
     Zatrzałaby ciebie!



No!... cóż to za kamień? odpowiedz doktorze!

Ha!... rzecz to niełatwa!

Nauka wszystkiego zrozumieć nie może,

Coś zawsze ją gmatwa!

Co?... nie wiesz?— objaśnię— nie moja w tém wina.

Mnie serce pomaga;—

To łza zasuszona biédnego murzyna,

Plantator gdy smaga.

Nie!... coś to za kamień? odpowiedź doktorze!  
 Hal!... rzecz to niełatwa!  
 Nauka wszystkiego zrozumieć nie może,  
 Coś zawsze ją gmatwa!  
 Co?... nie wiesz? — objaśnię — nie moja w tym winna.  
 — Maie serce pomaga;  
 To i za zasuszoną biednego muryka  
 Planuje gdy smaga.

## V.

Chodź zaw szakasz w izostokob cinał szob,

Kot się w płasach wywija,  
 Snadź niegłodna bestyja!  
 Kocie, moje ko chanie,  
 Jakie miałeś śniadanie?  
 Możeś chodził na łany —  
 I pod kamień schowany,  
 Wyzpiegował ptaszynę,  
 Co nam dobrą nowinę  
 Co wiosnę przepowiadał

Od chwili do chwili

Sama z jutrzeńki spada,  
 A pełna jój promieni,  
 Gdy je w pieśnię zamieni,  
 To tak tryska, szczebiota,

Ze aż płakać ochota,  
 Ze aż serce— siéroce,  
 Obertasa zagrzmoce!

Naprzód, ptaszek z ukosa,  
 Potém leci w niebiosa,  
 I w błękitne sklepiska  
 Ostrze pieśni swój ciska,  
 I znać daje do nieba:  
 Że tu ludzie bez chleba,  
 Że nam Łaski potrzeba.

A gdy niebo rozczuli,  
 Spada na dół w lot kuli  
 I nad głową oracza  
 Rzeźwe kręgi zatacza;  
 Na dzień-dobry mu rzecze:  
 „Uśmiechnij się człowiecze!  
 Bóg rozjaśnił Swe lica,  
 Siéj! a będzie pszenica!“

Oto anioł nie ptasze!  
 Oto szczęście on nasze!  
 Oto kapłan téj niwy!  
 To poeta prawdziwy!

W jego słówku i treści,  
Dobrodziejstwo się mieści.

A ty kocie! tve szpony  
Może w piersi natchnionój,  
Może w sercu śpiwaczém  
Zatopiłeś cichaczem??  
Mów! czy żyje skowronek?  
Czy wydzwoni nam dzionek?  
Czy da siewcy nadzieję.  
Gdy ten potem się zleje?

Kot tak spojrział zuchwało,  
Że odgadłem rzecz całą:  
Legł rozszarpan na szmaty,  
Bogomodlca skrzydlaty!

Kot się drapie po ścianie.  
„Kocie! dziki tyranie!  
Powiedz: krwawe twe gardło  
Co na obiad dziś żarło?

Możeś chodził na łowy,  
 W młody gajk liściowy,  
 Gdzie leszczyna cienista,  
 Kędy wierzba się chysta;  
 I gdzieś w ciemnej leszczynie,  
 Śmierć zadałeś ptaszynie,  
 Co swą pieśnią wieczorną  
 Spędza troskę uporną,  
 A w jej miejsce— nadzieje,  
 Zdrowia, życia naleje.  
 Pieśni jego ciekawa  
 I leszczyna i trawa,  
 Księżyc przy jego śpiewie  
 Własnej drogi już nie wie:  
 Zatrzyma się i słucha,  
 I westchnieniem wybucha!  
 I łza co leje z duszy  
 Na ziemię rosą pruszy,  
 Mów potworo! mów dzika!  
 Czy zabiłeś słowika?

Zbrodniarz siadł przy ognisku,  
 Krew wymywał na pysku;  
 To krew była— niestety!—  
 Gajów naszych poety!

Kot się bawi jak dziecko,  
Wzrok mu patrzy zbójcko,  
„Powiedz, straszne ty zwierzę,  
Jaką miałeś wieczerzę?  
Może za swą zdobyczą.  
Wpadłeś w strzechę rolniczą,  
Gniazdo jaskółcze zdarłeś,  
I pisklęta pożarłeś?  
Przyleciała zdaleka,  
Zdała w ręce człowieka  
Swoje gniazdo z pisklętą—  
Skarb swój drogi i święty!  
Onaż nasza gosposi,  
Ona lato przynosi,  
Ona w ciepłe już lato  
Nad stodołą, nad chatą.  
Pływa długiemi skrzydełkami  
I szczebioce ze zgiełkiem;  
Pędza czeladź leniwą  
„Do roboty co żywo!  
Jedno lato jest w roku,  
Zwóźcie zboże do toku!“

A gdy obłok się brudzi,  
Lata nisko wśród ludzi,  
I przestrogę swą kwili:  
„Dészcz! dészcz będzie w téj w chwili!“

Słyszysz?... jęczy tak głucho!...

Ponad gniazdka okruchą,  
Wpóśród gruzów się świeci  
Krew i piórka jój dziecił  
Nieszczęśliwa ptaszyna,  
Nas i siebie przeklina;  
Bije pierśmi o ścianę,  
Woła dzieci kochane.“

Gdy tak mówię do zwierza,  
Kot się na mnie najeża  
Ze straszniemi oczyma....  
Wątpliwości już niéma!  
Zgubił w całym jój losie  
Strzech litewskich gosposię!

Kot z mruzeniem zdradzieckiem  
Usnął w ciepłe za pieckiem;

A ja myśląc niedługo  
 Jak go skropię maczugą!...  
 Aż się zerwie, zapieni,  
 I wyskoczy do sieni,  
 Na dziedziniec, do sadu,  
 I już kota ni śladu...  
 Ha!... na drzewie!... ja za nim....  
 „My go prędko dostaniemy!“  
 Pan dozorca szpitala  
 Wyszpiegował to zdala,  
 Kazał ściągnąć mię z drzewa,  
 Zimną wodą oblewa,  
 Sadzi w ciasną zagrodę  
 „Trzy dni na chleb, na wodę!“  
 Za co? żem mścił się czynnie  
 Krwi przelanej niewinnie,  
 Krwi ptaszczęj, śpiewaczeń,  
 Czyż być mogło inaczej?

Pan dozorca!... ej biada!...  
 Pewno ptaszki zajada,  
 Więc pogląda przez szpary,  
 Na pobite ofiary!



A toż mamy już przecie  
 Dziewiętnaste stolecie;  
 Nadaremnie się trudzi,  
 Nie poprawi już ludzi!  
 Cóż ja pocznę? mój Boże!...  
 Chyba spać się położę.

## VI

Smieszne eady się postać  
 W tej komnacie;  
 Cóż się miało, co wieszczę  
 Trzymająca  
 Cóż, chata, w kątach, chata  
 Tam na kątach, noże chata  
 Wchowała  
 Tam przywła się kochana  
 Swo-bron;  
 Łać, ręką na rękę  
 Węsto oczu;  
 A kościoł, szczyt w stronie  
 Głaz wiatr wisnie;  
 Na drzewianych szczytach wpatry  
 Iach podarty;  
 Ktoś zafosy tam kwieciany;  
 Mocy i daru!

## VI.

Śmieszne snuły się postacie  
W téj komnacie:  
Coś się miasto, coś wioszczyna  
Przypomina.  
Tam na kurzej nóżce chata  
Wichrowata,  
Tam przymila się gospoda  
Siwo-broda;  
Pałac zérka na uboczu,  
We sto oczu;  
A kościółek skrzypi w stronie  
Gdy wiatr wionie;  
Na drewnianych szrudłach wsparty  
Dach podarty;  
Ktoś założył tam kwieciarnię,  
Mchy i darnie!

Ludzie chodzą, gwarzą, siedzą,

I nie wiedzą:

Gdzie skierować senną postać?

• Iść? czy zostać?

Tak śmiesznego nic na świecie

Nie znajdziecie.

Dzwon szczerbaty kaszla z wieży:

„Do pacierzy!“

Czterech dziadów w szmatach, boso,

Trumnę niosą;

Cztery babki szpitalnice

Niosą świece:

A na czele, organista

Aż się chysta,

Musiał zażyć, dla zapału,

Kordyału,

Bo z zapałem bierze tony

Antyfony.

A gdy huknie: *dies illa!*

I *Sybilla*,

*Requiescat* kiedy palnie  
 Kapitalnie,  
 To aż czując radość błogą,  
 Tupnie nogą.

Trumna prosta— a za trumną  
 Niezbyt tłumno:

Idą sobie ludzie prości  
 Z ciekawości,  
 Potém bieży tłum pacholi  
 Dla swawoli;  
 Dwóch przyjaciół nieboszczyka  
 Z drogi zmyka.

Mówią sobie: „Szkoda, szkoda!  
 Dusza młoda!

Serce wulkan— co z ogniska  
 Lawą tryska!

Aż się samo własną siłą  
 Przepaliło.

I cóż teraz?— niech kto spyta:  
 Trup i kwita!

„Po kim beczysz tak nieczysto,  
 Organisto?!

Trup jak znacznie i po zgonie,  
     W dobrym tonie.  
 Musiał cierpieć— w ustach znaczny  
     Jęk rozpaczny,  
 Są na czole myśli znaki,  
     Kto to taki?“  
 Tak zapytał pan z natłoku  
     Z szkiełkiem w oku.  
 Organista tak mu rzecze:  
     „Ja nie beczę,  
 Po łacinie śpiewam z nuty,  
     Psalm pokuty;  
 A nieboszczyk co widzicie,  
     Styrał życie—  
 Po obłokach się kołysał,  
     Więrsze pisał,  
 Czytał w książkach w noc i we dnie,  
     Jakieś brednie,  
 Dał każdemu wieść się w pole  
     Jak pachole,  
 A jeżeli rzec nawiasem,  
     Płakał czasem.  
 Krasawica sercu miła  
     Go zdradziła,  
 Przyjaciołom nic nie wierzy—  
     Bo nieszczerzy,

Więrsze zgryźli, z dobrej chęci,  
     Recenzenci,  
 A pokrewni gdzieś tam zdali,  
     Wieś zabrali!  
 I tak szło mu nieciekawie  
     W każdej sprawie;  
 Wziął na rozum za głęboko,  
     Spuścił oko,  
 A jak w drodze spotka człeka,  
     Precz ucieka.  
 I poczęto mówić w mieście:  
     Że nareszcie  
 W jego głowie—złe nadzieje,  
     Kogut pieje!  
 Zachorował, była zima,  
     Jeść nic niéma!  
 Na kominku dogorywa  
     Kłódka drzewa,  
 A on nie wie nic o świetle,  
     Więrsze plecie;  
 Albo jęczał jak w malignie  
     Gdy już stygnie:  
 „Kiedyż w piasku głowę złożę?  
     Mocny Boże!  
 Jam tak kochał!... za co? za co  
     Tak mi płacą!?”

Głodną śmiercią literata  
     Zszedł ze świata;  
 My go musim grześć co prędzój,  
     Bez pieniędzy!!  
 A na świeće do karbony?  
     A za dzwony  
 Kto zapłaci?... czy bogaci  
     Literaci!?!  
 A, doprawdy boli gardło  
     Śpiewać darmo!“

Ha!.. cóż począć?... dziady! baby!  
     Głos nasz słaby;  
 Ej! hukniemy u mogiły  
     Z całej siły  
*Requiescat!*— daj mu Panie  
     Spoczywanie!  
 Wieczna światłość—krzyczcie dzieci—  
     Niech mu świeci!“

Główna siła jest  
 Nasz sejmik  
 My go musimy  
 Bez niechęci  
 A na świeżość  
 A za dawno  
 Kto zapisał  
 Literali  
 A doprawdy  
 Sztywne  
 I poszła  
 Hala  
 W  
 E. H. H.  
 Zachęca  
 Wspaniałe  
 Spoczywajcie  
 Wspaniałe  
 Niech  
 Albo  
 Główny  
 Kto  
 Mocy  
 Jak



## III.

## DZIEWICZY WIECZÓR.

z Części Iéj.

**J**ak na wiosnę rój,  
 Szli pancerni w bój;  
 Błyszczą miecze i dziryty,  
 Ziemia stęka pod kopyty,  
 Grzmi żelazny strój!

Każdy żołnierz zuch,  
 Zwalczy najmniej dwóch,

Choć wążacze i brodacze,  
Młode serce w piersiach skacze,  
Młody kipi duch!

Daléj młodszy huf,  
Każdy piękny, zdrów,  
Na osłode w tęsknej drodze  
Spiéwa piosnkę o niebodze,  
Z kordyalnych słów.

Aż się kurzy pył,  
Wiatr w chorągiew bił,  
Pod proporcem naprzód dąży  
Siwobrody pan chorąży  
Jeszcze pełen sił.

Pod słoneczny skwar  
Przyjechali w jar;  
Tu przystanek dla żołnierza,  
Dla koników woda świeża—  
I zakipiał gwar.

Hetman krzyknął: „stój!  
 Orzeźwijmy znój!“  
 I z rumaka skoczył żwawo,  
 I pod brzozę kędzierzawą  
 Płaszcz rozesał swój.

Na hetmański ład  
 Szlachta poszła w ślad;  
 Zsiedli z koni w jednej chwili,  
 I do ziemi kopje wbili,  
 Prychnął kouik rad

Nim zeń zejdzie pot,  
 Nim owieje chłód,  
 Pancernicy siadłszy w wianek,  
 Wychylają z swych blaszanek  
 Smakowity miód.

U polowych miedz,  
 By wróg nie mógł zbiedz,  
 Na pagórkach i przy jarze  
 Postawiono gęste strażę,  
 Bezpieczności strzedz.

Jeden podał wzór,  
 Drugi zapiał wtór,  
 I płaczkliwie i boleśnie  
 Zaśpiewali starą pieśnię,  
 W stogłosowy chór.

„Co będzie jadł? co będzie pił  
 Mój koń chudzina?(\*)  
 Gdy przyjdzie mnie legnąć bez sił  
 Z rąk Tatarzyna?

Mnie wpośród pól wykopią grób  
 Rycerze mili;  
 A smutny koń, nad pusty żłób  
 Głowę pochyli!  
 Gdy wszystek duch wysącze z ran  
 Pod mieczem wroga,  
 Co będzie śnić? z kim pójdzie w tan  
 Moja nieboga?

Znajdzie się pan, jeśli jest koń,  
 Weźmie ochotnie,  
 Dziewczyna mknie innemu dłoń,  
 Gdy skrzypca grzmotnie!

---

(\*) Dwa początkowe wiersze są istotnie wzięte ze staréj pieśni żołnierskiej z XVI wieku.

Gorzój gdy żwir rzucony w dół,  
 Zasypie oczy,—  
 Że przez mój grób, do naszych siół  
 Pohaniec wkroczy.“

„Cicho z tą pieśnią! — hetman zakrzyczy —  
 Niech idą wróżby na suchy las;  
 Jak zajrzem w ślipie tatarskiej dziczy,  
 Taniec z dziewczęty znajdzie swój czas.

Człek się rycerski laurów spodziewa,  
 Orzeł pod chmurą żartuje z burz,  
 Kto sam po sobie *requiem* śpiewa  
 Idąc na bitwę — to pewno tchórz.

Wstyd wam, pancerni, takowych treli;  
 Bo w nich pieszczoty mieści się jad;  
 Niech białogłowa przy swój kądzieli,  
 Niechaj przy kruchcie śpiewa ją dziad.

Inaksza była piosenka nasza,  
 Której w obozie uczono mnie;  
 Ton jój był ostry jak zgrzyt pałasza,  
 Gdy po panczerzu żelaznym tnie.

Krew rozgrzewała, krzepiła zdrowie,  
I hartowała na ciężki trud;—  
Nie dziw że święci nasi ojcowie  
Niejeden chrobry zdziałali cud.

Dziś insi ludzie, inne koleje:  
W słowach piosenki krzewi się chwast;  
Niedziw, że oręż w rękach tępieje,  
Pieśń wasza szturmem nie weźmie miast!“

Więc rycerstwo już nie śpiewa,  
Stary hetman dziś się gniewa;  
Niech się gniewa, niechaj zrzedzi,  
On na wrogach złości spędzi.

Nic nie nada refleksyja,  
Bo przed bitwą zły jak zmija,  
I nie ujrzysz w nim dobroci,  
Póki wroga nie wygrzmoci.

Ot ze złości siadł na stronie,  
Że popasać trzeba konie,  
Że pancernym dać potrzeba  
Choć przekąsić kawał chleba.

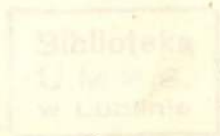
Onby w boje leciał strzałą,  
Onby nie spał przez noc całą,  
Onby samém żył powietrzem,  
Póki węża nie rozetrzem.

Lecz po boju, choć do rany;  
Gotów piérwszy ruszyć w tany,  
I przypomniéc z czarką miodu,  
Jakto śpiéwał sam za młodu.

Bo to, słyszę, w dawnéj porze  
I dziewczęta lubił hoże,  
Krotochwilę przy obiedzie,  
I kielicha nie zawiedzie.

Dziś w hetmaństwie, częściej bywa  
Pańska głowa frasobliwa;  
Aby nasza dziatwa mała  
W bezpieczeństwie usypiała.

By odpędził pałasz krzepki,  
Sny trwożliwe znad kolebki,  
Aby śpiących swemi krzyki  
Nie rozbudził zbójca dziki.



Aby król nasz na swym tronie,  
W senatorskiem zacnem gronie,  
Mógł swobodnie radę radzić,  
Jak do szczęścia nas prowadzić?

By w kościołach Boża chwała  
Pohańbienia nie doznała,  
Ostry brzeszczot w jego dłoni  
I ołtarzów naszych broni.

Bez wielkiego serca ludzie,  
Omdlewają w takim trudzie,  
Choć buławę mają godłem,  
Choć im rumak rży pod siodłem.

Fraszka— mądrość wojownika,  
Co obozy sam wytyka,  
Fraszka nawet duch ochoczy,  
Co na dziesięć jeden skoczy.

Prawy hetman zwraca oko  
Na dostojność swą wysoką;  
Bo w hetmanie, jak w kapłanie,  
Grunt jest— święte powołanie.



Trzeba w sercu ul mieć pszczelny,  
 I rój pszczołek stworzyć dzielny,  
 Coby żądłem pełnym jadu  
 Bronił kwiatów swego sadu.

Trzeba w sercu, jak plastr miodu,  
 Mieć kochanie dla narodu:  
 I dla panów, i dla kmieci,  
 I dla starych, i dla dzieci.

I dla żytnej ziemi swojej,  
 I dla wody co nas poi,  
 I dla lasów pełnych zwierza,  
 I dla wiatru co odświeża.

Bo kochanie tylko wstanie,  
 Zahartować duch w hetmanie;  
 I umocnić jego ramie,  
 Że go piekło nie przełamie.

Patrz na ptaszka lub na zwierzę,  
 Kiedy piskląt swoich strzeże;  
 Zkąd ta mądrość w ich obronie?  
 Zkąd to męztwo w jego łonie?

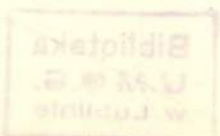
Tu mistrzyni jest wyborna—  
 Jedna miłość cudotworna:  
 Nierozumnym rozum wleje,  
 Od niej słaby spotężnieje.

Taka miłość, gdy przenika  
 I hetmana walecznika,  
 Już walecznik— jak duch z nieba,  
 Bohatérem zwać go trzeba.

Już możecie zostać śmieie,  
 I kapłani w swym kościele,  
 I królowie na swym tronie,  
 I rolnicy na zagonie.

Zieleniejcie lasy świetnie,  
 Wróg siekierą was nie zetnie;  
 Płynćcie rzeki w kraj daleki,  
 Nie jesteście bez opieki.

Już was żaden ze złych ludzi,  
 Swemi usty nie zabrudzi  
 A hetmańskię wierzcie stali,  
 Bo kto kocha, ten ocali.



Taki hetman— nasze zdrowie,  
Do zwycięstwa on nas zowie;  
Do zwycięstwa i do chwały,  
By nas wieki pamiętały.

DZIEWICZY WIECZOR

Pamięć byleż nasza  
Ciepła wspomina  
Dobrych ludzi, którzy  
Z nami byli

Das ist die erste...  
die zweite...  
die dritte...

die vierte...  
die fünfte...  
die sechste...

die siebte...  
die achte...  
die neunte...

die zehnte...  
die elfte...  
die zwölfte...

die dreizehnte...  
die vierzehnte...  
die fünfzehnte...

III.

# DZIEWICZY WIECZÓR.

z Części IIej.

---

**P**o prostu była litewskich dzieci  
Chata wzniesiona;  
Prosty *dajlide*(\*), jak umié kleci,  
Z dębów berwiona.

---

(\*) *Dajlide*, cieśla.

Między berwiona mech ściele sporo,  
Otula ściany,  
Krokwie obija dębową korą  
Pod dach słomiany.

Długa, szeroka chata Litwina  
Z dwóch stron się składa:  
Po jednej żyje chatnia drużyna,  
Po drugiej stada.

Koniki silne, czy do roboty,  
Czy to do boju,  
I karmicielki—krówki pieszczoty,  
Pełne udoju.

I wielko-rogich woliców para,  
Co skibę kraje,  
I kędzierzawa owieczka szara.  
Co odzież daje.

Tam, gdzie się w chacie ludzie gromadzą,  
Okienko świta,  
A czarna ściana dymem i sadzą  
Wiecznie pokryta.

Zamiast podłogi, tok z gliny bity

Mularze dali.

Na środku izby ogień sowity

W jamie się pali.

Pali się zawsze—bo tu jest Znicza

Głównia ofiarna;

Przy nim tcze krośna ręka dziewicza,

Lub kręci żarna.

Przy nim starcowie, swą staroświecką

Gawędę plotą;

Słucha ją młodzian, słucha ją dziecko

Z pilną ochotą.

Gdy piękną młodzież widząc przed sobą,

Staruszek baję,

On dawnym latom z jutrzejszą dołą,

Święty ślub daje.

Przy tych gawędach bogowie stoją

Na pilnej straży;

Nie umrze dziadek, aż przeszłość swoją,

Wnukom wygwarzy.

Przy huku żaren, przy stuku w krośna,  
Przy grzmocie cewki,  
Płynie po chacie piosnka żałosna  
Młodój Litewki.

Młodziuchna Erma jest narzeczoną  
Do bliskiěj wioski,  
Wkrótce porzuci domowe grono  
I dom ojcowski.

Wkrótce złocisty splot jěj warkoczy  
Czepiec okryje,  
A czarodziejskie błękitne oczy  
Łezka omyje.

Biédna Litwinka! o szczęściu nie śni  
W marzeniu lubém;  
Obyczaj każe żalosne pieśni  
Śpiewać przed ślubem.

Więc rówiennice schodzą się do niěj  
Z przyjaźnią tkliwą;  
A każda jęki bolesne roni,  
Jak nad nieżywą!



Stare przysłowie dobrze powiada —

Ślub jest załobą;

A jednak każda co prędzój rada

Płakać nad sobą.

Zaszczebiały, jakby jaskółki

Na niepogodę,

Podobierały głosy do współki,

Dziewczęta młode.

Obsiadły wkoło z pustej swawoli,

Ermy krosienka,

I zaśpiewały aż serce boli,

Aż ściana stęka:

„Do siostry naszej ruta się wdzięczy,

Dla niej lilija wytryska z pęczy,

A przecież siostrę tęsknota dręczy.

Czego się sestro twa dusza trwoży?

Wszak twoja młodość to ranek Boży,

Wszak narzeczony piękny i hoży.

—Prawda, że wiosna jak ranek świeży,  
 Mój narzeczony pierwszy z młodzieży,  
 A przecież kamień na sercu leży!

Muszę się zegnać z domową stroną,  
 Muszę się zegnać z matką rodzoną,  
 Z moim ogródkiem, z rutą zieloną.

Wy czarne kury nie piejcie rano,  
 Przedłużcie moją nockę niespaną,  
 Niech się nagadam z matką kochaną!

Kury nie pieją, śpi wioska cała,  
 I ciemna nocka godzin przybrała,  
 A jam się z matką nie nagadała!

—„Słuchajcie— rzekła jedna dziewczyna—  
 Czy nie piękniejsza piosenka moja?  
 Był sobie chłopak sierota szczerą,  
 Co u stóp dębu serce otwiera:

„Tam przy morzu u przystani,  
Wyszła góra z ziemi,  
Dąb szeroki wyrósł na niej,  
Z gałęzmi krętymi.

Wypłynąłem wraz z jutrzenką,  
Zwiąć myśli siéroce;  
I przybiłem me czółenko,  
W przygórnój zatoce.

I objąłem dąb chropawy,  
Ile mogłem dostać:  
Zmień się dębie, bądź łaskawy,  
W mego ojca postać!

Wznies gałęzie uroczyście,  
Jak ręka ojcowa;  
Zmień szumiące twoje liście,  
Na serdeczne słowa!

Lecz sierota w poniewierce:  
Próżno łzy me biega,  
Nie zabiło w dębie serce  
Ojca rodzonego.

Nie wzniosł ramion uroczyście,  
    Jak ręka ojcowa;  
Nie szumiały jego liście,  
    Serdecznego słowa!!

Druga dziewczica rzekła koleją:  
„Czyż tylko chłopcy boleć umieją?  
Ich łza jak ogień rozpala oko,  
Nasza do ziemi idzie głęboko;  
Ich jęk do nieba trafić ma siłę,  
A nasz się głębiej wbija w mogiłę;  
Oni śpiwają szczęśliwą chwilką,  
A my i myślim pieśniami tylko.  
Ja takąż pieśnię umiem inaczej,  
Jakto po matce córka w rozpaczy.“

„Posyłali mię nieboże,  
Szukać jagód w ciemnym borze;  
Lecz ja w borze nic nie robię,  
Bo na matki byłam grobie.

Poszłam w góry ścieżką znaną,  
 Gdzie jój kopiec usypano,  
 Gdym płakała—drzewa jękły,  
 Aż w mogiłę łzy zasiękły.

Matka pyta w swojej trumnie:  
 „Kto tam z płaczem przyszedł ku mnie?  
 Ze aż jęczy piasek z gliną,  
 Łzy gorące w pierś mi płyną?”

—„To ja, córka... matko miła!  
 Coś sierotą zostawiła.  
 Kto rozczesze włos mój złoty?  
 Kto omyje twarz sieroty?  
 Kto strzedz będzie moje zdrowie?  
 Dobre słówko kto mi powie?”

„Idź do domu, córko miła,  
 Jam ci dolę wymodliła;  
 Już w tej chwili przysłał swaty,  
 Rycerz zacy i bogaty.

On rozczesze warkocz złoty,  
 On omyje twarz sieroty,  
 On strzedz będzie twoje zdrowie,  
 Dobre słowo on ci powie.“

„Ej wy dziewczęta! to nie wypada,  
 Łzy wywoływać na oczy dziada!“  
 Tak mówił Warpas, starzec brodaty,  
 Zakuty Litwin dawniejszej daty;  
 Starych obrzędów postrzegacz ścisły,  
 Siwy jak jawór szronem nawisły,  
 Ale dla niego była pokutą,  
 Pieśnia weselna z grobową nutą.  
 Stary był wesół, jak rzadko starzy,  
 Lubił śmiech widzieć na każdej twarzy,  
 Zwłaszcza gdy miodek, lub chmielne piwo,  
 Na twarzy kraskę wywoła żywą.  
 Aż się od śmiechu kładą przytomni,  
 Dawną pustotę kiedy przypomni,  
 I teraz mówi: „Będzie wesele...“  
 A wy choć piosnek umiecie wiele,  
 Nie znacie jednej. Za mój młodości,  
 W chacie litewskiej, gdy pełno gości,  
 Chórem śpiewali, chórem się śmieli,

Dzisiaj i śmiać się już zapomnieli,  
 I żaden nie wie, co wtedy było,  
 Gdy się wilczyśko w lesie żeniło?  
 Dajcie mi żarna, niech je pokręcę,  
 Niech odprostuję zgrzybiałe ręce,—  
 I puszczę myśli w weselszą drogę,  
 Bo bez roboty śpiewać nie mogę.“

Więc do kamienia nasypał ziarna,  
 Odrzucił głowę, zahuczał w żarna,  
 Jak dobry gęślarz co w pierwszej próbie,  
 Naprzód przegrywkę dobiera sobie;  
 I głosem takim jakby ze studni,  
 Jak wóz skrzypiący po moście dudni,  
 Zaśpiewał pieśnię, z dawniejszej chwili,  
 Kiedy wilczycę z wilkiem żenili:

Przywędrował niedźwiedz kudłaty, kudłaty;  
 Do wilczycy z piwem, we swaty, we swaty,  
 Tój jesieni wilk się żeni,  
 Idą goście zaproszeni  
 Do lasu, do lasu!

U jeża pod kluczem gorzałka, gorzałka,  
 Lis sprawuje urząd marszałka, marszałka,  
     Zając zda się, w trudnym czasie  
     Państwo młodych wieść w kolasie  
                     Do ślubu, do ślubu!

Tchórz szumiące piwo wypienia, wypienia,  
 Wróbel robi słody z jęczmienia, z jęczmienia,  
     A kukułki im do spółki,  
     Spieszą, chmielne nieść szypułki,  
                     Z ogrodu, z ogrodu!

Drwa piłuje rydlem byk łysy, byk łysy,  
 Pies wymywa garnki i misy, i misy,  
     Warchlak gładki, dla gromadki,  
     Nakupował mięsa z jatki.  
                     Po groszu, po groszu!

Niedźwiedź spoczywając po trudzie, po trudzie,  
 Gra niemieckie marsze na dudzie, na dudzie,  
     Wilk ssal czarę przebrał miarę,  
     Prosi kozę w pierwszą parę,  
                     Do tańca, do tańca!



Jestem dzisiaj w dobrym humorze, humorze,  
 Niech mi kuma w tańcu pomoże, pomoże;  
 Wróg widocznie, kto dziś spocznie;  
 Hej, niedźwiedziu! zagraj skocznie  
 Walczyka, niemczyka!

Jak odmówi kuma w zabawie, w zabawie,  
 To ja panią kumę zadławię, zadławię,  
 A ze skóry, dla wilezury,  
 Będzie kołpak jasno-pióry,  
 Od święta, od święta!"

Zachychotały dziewczki chychotki,  
 Jaki to z wilka tanecznik słodki,  
 I jak mu kozi kołpak do twarzy,  
 Jak na weselu lis gospodarzy,  
 Jak tam pod wozem zajączek stęka,  
 Aż do rozpuku śmieszna piosenka!  
 — „A co? czy śmieszna? powiedzcie szczerze!“  
 Staruszek sam się za boki bierze,  
 Rad że zabawił garstkę domową,  
 Zahuczał w żarna, pokiwał głową,  
 I chciał ich śmieszyć i śpiewać dalej,  
 Gdy trwożny okrzyk wszyscy wydali.

Wśród nocy, z okna tam od podwórza,  
 Dwoje się z ciemna oczu wynurza,  
 Przez szybę błyszczą twarz jakaś dzika,  
 I ryża broda jak rozbójnika,  
 Rząd białych zębów świeci zpod wąsa,  
 A straszne widmo głową potrząsa.  
 — „Kto tam?!“ krzyknęli wszyscy strwożeni,  
 I wyleciała młodzież do sieni,  
 Jeden pochwyił bardysz ze ściany,  
 Drugi swój topór grubo kowany,  
 Dziewki za starca tulą się z trwogą;  
 Lecz już na dworze niéma nikogo,  
 Tylko postyszał jeden z młodzieży,  
 Że ziemia tętni jak gdy kto bieży;  
 Tylko zobaczył drugi z za drzewa  
 Że widmo białym płaszczem powiewa,  
 Że się coś iskrzy nad jego głową,  
 Jakby nosiło czapkę stalową.

Starzec żartował z trwogi dziecięcój,  
 Ale już pieśni nie śpiewał więcój.  
 Na twarzy jego z dziwnym wyrazem  
 Strach i szyderstwo zbiegły się razem;  
 Lecz przerażenia nie dając znaku,  
 „To wilk, powiadał, w kozim kołpaku!“

lira odpowiada:  
 „A pocóż mam duszę?  
 Co mi wiatr nagada,  
 To wybrząkać muszę.”

#### IV. Poranek.

## NIEDZIELA.

Sielanka w 4ch pieśniach z niedawnej przeszłości.

Wiatr kołysze kłoski  
 Zielonej niwy,  
 Lata wkoło wioski  
 Anioł zyczliwy,  
 I łąkom, gdzie kwiatki,  
 Wieści udziela:  
**M**acie cztery pieśni  
 Z niedzielnego dzionka,  
 Czasem głowa nie śni,  
 Co lira wybrząka;  
 Och tak nienawiśnie,  
 Czasem w struny piśnie,  
 Jak po sercu piłą!

Warc Lira odpowiada: tam od podwórza,  
Dwo „A pocóż mam duszę?  
Prze Co mi wiatr nagada, z jakaś dzika.  
I sy To wybrząkać muszę.“

Rząd białych zębów świeci spod wąsa,  
A straszne widmo wtrąwa potrząsa.  
— „Kto tam?“ krzyknęli wszyscy strwożeni,  
I wyleciała miodolna do sieni,  
Jeden pochwycił bardziej ze ściany,  
Drugi swa **WIEDZIEĆ** wzięła z ręki,  
Dziwili za starca tula się z trwoga:

Lecz już na porządku dnia  
Leciały w powietrze jak ptaki  
Ziemia tętni jak gdy kto bięty;  
Tylko zobaczył drugi z za drzewa;  
Ze widmo białym płaszczem powiewa,  
Ze się wokół iskrzy nad jego głową,  
Jakby uszło czapkę stalową.

**M**acie cieleć pieśni  
Starzec zapomniał białego  
Ale już pić nie mógł  
Na twarzy jego  
Strach i  
Lecz przed  
To wilk

## I. Poranek.

Spuściła się z góry  
Święta niedziela,  
Z za różowej chmury  
Słońko wystrzela.  
Wiatr kołysze kłoski  
Zielonej niwy,  
Lata wkoło wioski  
Anioł życzliwy,  
I łąkom, gdzie kwiatki,  
Wieści udziela:  
„Radujcie się dzieci,  
Dzisiaj niedziela!“  
Trawka pełna rosy  
Czeka na stada,  
Ryczy wniebogłosey  
Oborka rada.

Sute, dzięki Bogu,  
Pastwisk obszary.  
Trąbi w trąbkę z rogu  
Pastuszek stary;  
Za wsią sterczy z drzewa  
Krzyż Zbawiciela,  
Ptaszek na nim śpiewa:  
„Dzisiaj niedziela!“

Pod Jankową chatą  
Skrzypi kolasa,  
Dziatwa czując lato,  
Po dworze hasa.  
A Janek otwiera  
Zamek śpichlerza,  
Na targ się wybiéra,  
Zboże odmierza.  
Już i żniwo blisko...  
To go ośmiela  
Jechać w targowisko.  
Bo dziś niedziela!  
Licha gospodarka:  
Grosza potrzeba,

Nie zostało ziarnka  
Na bochen chleba.  
Żona nie ma soli,  
Suszy mu głowę;  
Drobna dziatwa woli  
Książeczkę nowę,  
Toż to gościńcami  
Ich poobdziela!  
Dzieci! Pan Bóg z wami,  
Dzisiaj niedziela!

Na wóz Janek wsiada,  
Konia zacina,  
Bieży zanim rada  
Dzieci drużyna!  
Mimo sielskie wrota  
Minął krzyż kłusem. . . .  
A dziatwa szczebiota:  
„Z Panem Jezusem!”  
Mówią pięć pacierzy  
Do Zbawiciela,  
Modły idą szczerzej,  
Bo dziś niedziela!

Gdy dzieci łączy ronią,  
Schyliwszy czoła,  
*Anioł Pański* dzwonią  
Z wieży kościoła;  
A jak dzwon uderzy  
Świątym wyrazem,  
To i pułacz z wieży  
Jęczy z nim razem.  
Kto nocną brzydotę  
Jęczyć ośmiela?  
Świeci słońko złote,  
Dzisiaj niedziela!



## II. Powrót Janka z targowiska.

Jestem sobie podpiły,  
 Jedna czarka dla siły,  
 Druga z ręki sąsiada,  
 Czyż odmówić wypada?  
 Poszła trzecia i czwarta,  
 Ot zebrała się kwarta,  
 Ot i w głowie już świta,  
 Hej, pal koniu z kopyta!

Na bok pany, bom pijany,  
 Wstyd wam mojej sukmany;  
 Lecz Jankowa sukmana  
 Nie bywała skalana,  
 Wy o waszej sajecie  
 Czyż to samo powiecie,  
 Kiedy Pan Bóg was spyta?  
 Hej, pal koniu z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,  
 Pyknąć lulkę zachodzę;  
 Człowiek węgle roznieca,  
 A tam szatan z za pieca  
 Daje znaki wciąż głową:  
 „Wypij! będzie ci zdrowo!“  
 Posłuchałem i kwita,  
 Hej, pal koniu z kopyta!

Krzycz czy nie krzycz tam żono,  
 A jeść będziesz niesłono!  
 Niechaj cierpi nieboga;  
 Sól być musi zadroga,  
 Coś mi z głowy wyleci.  
 Kupić książkę dla dzieci?  
 Co tam dziecko wyczyta?  
 Héj, pal koniu z kopyta!

Choćby umiał czytanie,  
 Toć chłop chłopem zostanie;  
 Sześć dni w pracy gnie szyję,  
 W siódmy dzień się upije.  
 Więc za przykład pokuty  
 Zdadzą chłopca w rekruty,

Kapral pleców dopyta.  
Hej, pal koniu z kopyta!

Krzyż przy drodze.... tu stanę....  
Nogi chwieją się pjane,...  
Przebacz Chryste! jam ciemny,  
Bój z szatanem daremny!  
Któż mi głowę oświeci?  
Kto zapewni los dzieci?  
Przyszłość ciemna, zakryta.  
Hej, pal koniu z kopyta!

Grzmi.... błysnęło w oddali....  
Piorun w sosnę gdzieś pali,...  
Czemuż karczmy oszczędza,  
Z których grzech nasz i nędza?  
Ej, urosło ich tyle,  
Że aż dziesięć na milę.  
Krwia płacimy ich myta,  
Hej, pal koniu z kopyta!

Ot i wioska.... snadź nasza,  
Konia nęci już pasza,  
Targnął wozem tak srodze,  
Żem się zwałił na drodze.

Trudno powstać, bo ciemno,  
 A czart stoi nademną,  
 Klaszcze w dłonie i zgrzyta....  
 Koń sam pobiegł z kopyta.

### III. Lament pana Arendarza.

Janek!... spił się jak bela,....  
 Jak zabity śpi w rowie.  
 Prawda, dzisiaj niedziela!  
 Czarka, druga, na zdrowie.  
 Tobie zdrowia przybędzie,  
 Ja mieć będę grosz w zysku.  
 Lecz tyś zamiast w arendzie  
 Spił się na targowisku!  
 Tyś mi ukradł co moje,  
 Gwałt, ratujcie, rozboje!  
  
 Czy nie złodziej? no proszę....  
 A ja z czego żyć będę?  
 Jan z kieszeni skradł grosze,  
 Przecież płacę arendę:

Tysiąc złotych gotówki,  
 Głowę cukru z napaści,  
 Muszę karmić dwie krówki,  
 Żonę, dzieci dwanaści;  
 Czyż ja poły odkroję?  
 Gwałt, ratujcie, rozboje!

Konie, kozy, barany,  
 Sztuk dwadzieścia się zbierze,  
 I mam kontrakt pisany  
 Na kosztownym papierze.  
 Kontrakt pisze w tém słowie,  
 Węzłowato a krótko:  
 „Wszyscy moi chłopowie  
 Tu upiją się wódką“...  
 Jak ja pjanych napoję?  
 Gwałt, ratujcie, rozboje!

Pisze dalej tak srogo:  
 „Niechaj każdy pamięta,  
 Nie wyjmując nikogo,  
 Baby, chłopcy, dziewczęta,  
 Żaden z chłopów, broń Boże,  
 I to w żadnym już względzie,

Pić gorzałki nie może,  
Tylko w swojej arendzie,  
Bo zapłaci we troje.“  
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czytaj co tu pisano!  
Lecz chłop głupi, nie czyta.  
Jadąc na targ dziś rano,  
Miałeś miarki dwie żyta,  
Miałeś jeszcze ćwierć grochu,  
Warto złotych dwadzieście,  
Jużci pijąc po trochu,  
Mogłeś przepić coś w mieście,  
Już ja o to nie stoję,  
Choć to gwałty, rozboje!

Ale resztę.... to znowu  
Przepij u mnie na zgodę,  
Ja wydzwignę cię z rowu,  
I do karczmy zawiodę.  
Wstawaj! zbiierz się na siły,  
Pokaż kieszeń!... no proszę...  
Ach ty chłopie opily!...  
Ukradziono mu grosze!

Toż ja liczył jak moje,  
Gwałt, ratujcie, rozboje!

No!.... co robić? przygoda.....

Jużby lepiej to przepić....

Mnie samemu cię szkoda,

Warto ducha pokrzepić.

Janek! Janek! ty słaby,

Wypij kwarty z połowę,

Nie idź do twojej baby,

Naturbuje ci głowę,

Ty jej oddasz za swoje,

Będą gwałty, rozboje!



#### IV. Wieczór.

Opuściwszy głowy,  
 Kwiatki już drzemią,  
 Wieczorek różowy  
 Pieści się z ziemią;  
 Słońce nim zapłynie  
 Za chmurną ścianę,  
 Złotem wprzód obwinie  
 Strzechy słomiane.  
 Błyszczą ognie z chatek,  
 Krąży lud w bieli,  
 Taki jest ostatek  
 Świętej niedzieli.

Powracają trzody...  
 Dzielne jój harcel  
 Pasterz siwobrody  
 Gra na fujarce;

Polny konik brzęczy  
W podskoku żywym,  
A niewiasta jęczy,  
Padłszy pod krzyżem.  
Ej, jak cierpi srodze  
Ludzie widzieli;  
Bolesny niebodze  
Wieczór niedzieli!

Skrzypak podchmielony  
Na taniec zowie,  
Grzmią w kapliczce dzwony  
Po czyjéjs głowie...  
Dziś mnie, jutro tobie,  
Janku nieboże!  
Dziś hulałeś sobie,  
Przedawszy zboże,  
A wieczorem człeka  
Na mary wzięli....  
Nie wie kto doczeka  
Przyszłej niedzieli.

## V.

## ŚMIERĆ SŁOWIKA.

**W** drucianém więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,  
 Zamknęli słowika;  
 Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,  
 Że pierś mu przenika.  
 Ochl! niemasz tu cienia w olszniaku, w leszczynie,  
 Co głowę osłonił  
 Ochl! niemasz tu wtóru, bo strumyk nie płynie  
 Ze szmerem po błonił  
 Ochl! niemasz tu lubój, dla którejby warto  
 Choć skonać wśród pieśni!  
 Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,  
 Bo klatka lot cieśni.

Tu zamiast wietrzyka, o bruk koła grzmocą,  
 Aż trzęsą się ściany,

Tu kurzem osypie jadący karocą  
 Pan w złoto przybrany.

Tu zamiast strumienia, tłum płynąc jak woda,  
 I tętni i wrzeszczy;

Gdzie tutaj zacisze, gdzie tutaj swoboda,  
 By wydać głos wieszczy?

Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,  
 Kurzawa aż dusi;

Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,  
 Ten śpiewać już musi.

Poczyna piosenkę, w tony się rozpada,  
 Wygłasza swe żądze;

Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,  
 Co liczy pieniądze.

Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze  
 Przemagać poczyna.

Wóz tętni po bruku, o ja go przekrzyczę!  
 Tak myśli ptaszyna.

I nutą wciąż wyżej, a wyżej wystrzela,  
 Góruje głos młody!

Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,  
 Swe chwile swobody.

Przypomniał swój gaik i lube wieczory

Pod gęstą kaliną!

Przypomniał serdeczne, długie rozmowy

Ze swoją jedyną.

Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,

W mgle ranniej lał trele,

I głosem królując nad ptastwa tysiącem,

Był zawsze na czele!

„Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,

Pomimo hałasu!

Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!“

Tak myślał syn lasu.

Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmia krocie,

Bruk miejski wciąż dudni;

A jakby naprzekór, w ulicznej ciasnocie

I ludniej, i ludniej.

Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma

I słucha pieśniarza;

Pochwała tém bardziej pierś jego rozdyma

I zapał rozżarza.

Niebaczny! twój tryumf opłacasz zbyt drogo,

Cóż ciżby brukowe?

Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogą

Ich oczy matowe.

Słuchaczów co płaczą łezkami rozkoszy,  
Potrzeba ci właśnie;  
Tyś nie znał oklasków, bywało cię spłoszy,  
Kto w dłonie zakłaśnie.  
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,  
Skrzydółka omdlały;...  
On tego nie czuje, bo w swojej piosence  
Utopił się cały.  
Całego słowika ogarnął szal pieśni,  
Aż echem drga klatka;  
Tém śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,  
Z sił swoich ostatka.  
A wozy wciąż huczają, a ciżba wciąż krzyczy,  
Ci sobie, on sobie,  
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy  
W ostatniej swój probie.  
Daremnie w swe drobne skrzydółka szeleszcze,  
Chwieje się i ślania,  
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,  
Lecz taktem skonania.  
I ten co pieśniami górował nad knieją,  
Tu zerwał swe siły;  
A koła po bruku szydlerczo się śmieją,  
Że ptaszka zabiły!

## VII.

# BABUNIA.

Ze szwedzkiego poety Andersona

(Urywek.)

**N**asza babunia stara, pomarszczona, siwa,  
Ale oczy jój blaskiem migocą się jeszcze,  
I piękne historyjki z pamięci dobywa;  
Jój suknia w duże kwiaty jak nowa szeleszcze,  
Babunia wiele umie i wiele pamięta,  
Bo gdzie starsza od ojca i od naszój matki!  
U babuni jest książka do modlitwy świętej,  
A w téj książce dębowe z klamrami okładki.

Między kartami książki, zerwana za młodu,  
Spłaszczona, zeschła róża troskliwie się chowa,  
Nie tak piękna, nie świeża jak róże z ogrodu,  
Lecz widząc ją, babunia zapłakać gotowa.  
Pocóż nasza babunia tak starannie strzeże  
W książce od nabożeństwa kwiat żółkły nieładnie?  
Czemu, gdy na téj książce odmawia pacierze,  
A na zawędły kwiatek jój łezka upadnie,  
Kwiat uzyskuje barwę, nabiera swój woni,  
Twarz babuni młodnieje, rumieni się, bieli,  
Słońce ją opromienia, uśmiecha się do niej,  
W domku poweselało i w sercu weselój?  
Ot... młodnieje, młodnieje, rzekłbyś dziewczę hoże,  
Ze światłemi włoskami, krasnemi jagody,  
I kwiatek z sianozęci być świeższym nie może.  
Mniema że przy niej siedzi narzeczony młody,  
On jój darował różę, ona się uśmiecha,  
Z tym niewinnym uśmiechem jak dziecku jój ładnie.  
Odjechał,—tysiąc dumań przedumała zcicha,  
W książkę do nabożeństwa znów swą różę kładnie,  
Zasiada w staroświeckie krzesło na ostatek,  
Twarz się jój znów pomarszcza, oko już nie pała,  
Jeszcze raz popatrzyła na zawędły kwiatek,  
Książka jój z rąk wypadła, babunia skoła.



## VIII.

### KSIĘGARZ ULICZNY.

(Obrazek z Wilna).

Aksamitem i złotem świetnieją księgarń,  
Aksamitna, złocista publiczność się garnie,  
A książki przepłacane, chwytane z rozkoszą,  
Pożytek i zabawę po Litwie roznoszą,  
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,  
Do spartańskiej polewki dana soli szczypta.  
Dzięki Bogu i za to! a czy pamiętacie,  
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie,

Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,  
 A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?  
 Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jój znane,  
 Więc pytasz sam u siebie: kto sprawił tę zmianę?  
 Patrzcie! ja go wam wskażę: przyparty do ściauy,  
 Stoi żyd siwobrody, okryty w łachmany,  
 Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,  
 Pod pachą stara książka. To Nestor księgarzy!  
 Nie szydźcie z téj postaci! lat pięćdziesiąt blisko,  
 Jak zajął przy téj ścianie swoje stanowisko.  
 I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,  
 Za miedzianą monetę dał złoto oświaty.

Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy  
 Górowała nad naszéj mądrości atomy,  
 Gdy w słowie Cycerona, w Horacego nucie  
 Znajdowano wielkości i piękna poczucie,  
 On sprzedawał łacińską książeczkę in quarto,  
 Zabrudzoną, z początku i końca odartą,  
 Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:  
 „Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy na zdrowie.“  
 Zdrowieź było w tych książkach! słowo wrzące czynem,  
 Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,  
 Duch nabierał potęgi, opływał w rozkoszy,  
 Za mizerną zapłatę kilkunastu groszy.

A nędzarz co to sprzedał, patrz jak błogo leci  
 Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci!  
 Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,  
 Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiewywa!

Pogadajmy z nim sami: wspomniał czasy młode,  
 Westchnął, oparł na kiju osiwiąłą brodę,  
 Otarł czerwone oczy:

— „Panicze! panicze!

Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,  
 Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych,  
 Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych.  
 Czy to raz, professorska figura zgarbiona  
 Płaciła po dukacie listy Cycerona.  
 Za Plautusa egzemplarz podarty i stary  
 Pan Grodek mi zapłacił aż cztery talary,  
 A ja licząc pieniądze, ściskam ramionami,  
 Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?

Rarytne były czasy! mądrości ogromy,  
 Grodek, Sniadeccy, Czacki popisali tomy,  
 Książki choć na bibule, szły jak assygnata,  
 Dużoż ich sprzedawałem w staroświeckie lata!  
 Czy żyją, czy umarli, daj Boże im zdrowie!  
 Kupowali je hurmem akademikowie,

Ale naród to biędny, obciążony pracą,  
 Niejeden chciałby kupić... a tu niema za co!  
 To ja tak myślę sobie: no! szkoda mi dzieci,  
 Dam na kredyt lub wzamian literackich śmieci,  
 Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda,  
 A poczciwi panicze pokochali żyda,  
 Grosz ciągle, choć powoli do worka się sączy,  
 Aż przyszedłem nareszcie do nowój oponczy.

W zamianę dostawałem stare folijały:  
 Rejów, Paprockich, Wujków, Strykowski zbior cały,  
 Łazarzów, Piotrowczyków, wydania bogate,  
 I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.  
 Nie chwałąc się napróżno, znam druki najrzadsze,  
 Że czasem i w Bentkowskim pomyłki dopatrzę.  
 Nie popłatny był towar, mało znany komu,  
 To ja... z piętra na piętro... od domu do domu...  
 Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę,  
 Wypchną mię przez drzwi jedne, ja przez drugie wchodzę.  
 Tak budziłem u panów do książek ochotę,  
 Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote,  
 I rad ze staroświeckich gotyckich rupieci,  
 Dzięki Bogu! powiadam, będzie chleb dla dzieci.

No! pana Mickiewicza zabłysnęła chwała,  
 Ale już postarzałem, broda posiwiiała,  
 Ręce znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,  
 Opierałem na kiju stary patryarcha;  
 I nieraz gdy książeczkę roznosiłem małą,  
 Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało;  
 Bo co to wart być może tom taki niespory?  
 Jam przywykł do *in folio*, do *quarto majori*.

No! w tém już pobłądziłem, bo to dobre dzieła;  
*Wallenrodom* i *Dziadom* Litwa przyklasnęła.  
 Czy pan wiész?... były cuda, co i sen nie marzy,  
 W pół godziny sprzedałem.... dziesięć egzemplarzy!  
 A wzięwszy dziesięć złotych, raduje się dusza:  
 Ha! to musi być większy od Horacyusza!  
 Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce  
 Autorowi Grażyny całowałem ręce....

Lecz począłem ubożec; czas płaci, czas traci,  
 Nowe kramnice książek otwarli bogaci,  
 A w każdej pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,  
 Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;  
 A ja najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,  
 Stoję, zgarbione plecy oparłszy o ścianę.

Co staremu do tego czy wilgoć, czy słota?  
Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota,  
Egzemplarz niekompletny.... cóż ja biedny zrobię?  
Pan Grodek gdzieś wyjechał, pan Mickiewicz w grobie.  
Pamiętam ich, pamiętam.... ja żyłem z ich darów,  
Teraz już niema u mnie tak dobrych towarów....  
Zmalał czas, pomaleli nasi literaci,  
Ale, jak mówią ludzie, czas płaci, czas traci.  
Kupujcie Walter-Skota! sprzedaję niedrogo,  
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzć mogą.“

Wtém karetą księgarza po bruku się toczy,  
I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.  
Otarł zbolale oczy i podniósł je w górę:  
„Och! na co ja stworzyłem tę literaturę!“

## VIII.

### CO UMIEM NAKRĘŚLIĆ.

**K**iedy biorę ołówek (chęćka dzisiaj rzadka),  
I nie wiedząc co kręślić, błędne stawię kręski,  
Zawsze wyjdzie zpod ręki lub litewska chatka,  
Lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kręślić na papierze,  
Tylko to com ukochał z całej mojej duszy,  
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze,  
Chciałem kręślić gmach pański, — ołówek się kruszy.

Bogdajto wiejska chata! tu prostemi sztrychy  
 Dach słomiany, berwiona, okienka wywiodę,  
 A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy,  
 Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode.

[ Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,  
 Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zgliszcze,  
 Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,  
 Choć im wichur przez szpary piosnkę nędzy świszcze.

Bogdajto wiejski kościół!— dzwonnice pochyłą,  
 Z darnic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!  
 Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,  
 Jak pszenne ziarno cnoty sieje między dziatwą.

Lub stary organista, gdy kantyczki złoży,  
 I na pacierz wieczorny uroczyście dzwoni,  
 To słyszysz wyobraźnią jak leci Duch Boży,  
 W drganiu echa świętego po zielonej błoni.

Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodołą!  
 Sam zdaje się z pamięci pod ołówkę bieży;  
 Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło  
 Nad szczepy dębówemi chocimskich rycerzy.



Ot i wszystek mój talent wyczerpał się marny,  
 Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny;  
 Ot jeszcze umiem skreślić wiejski krzyż cmentarny,  
 Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.

## II.

## ZAWCZESNIE.

Pierwszą kwiatową, do wiosny, obywateli,  
 A która raziera chrząstki i lipki,  
 Pod miotłą, w powietrzu się Niewola odleci,  
 A waga ciężarowa jej pokaże,  
 Wszak przeczaj, że sama Niewola się waga,  
 Zmagając parobki, polednia do bogu,  
 A kto przeczaj, że sama Niewola się waga.

Pod jakim ciekawym spojrzeniem  
Ojciec błądził, kiedy w oczach  
Ojciec błądził, kiedy w oczach  
Ojciec błądził, kiedy w oczach

Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach

Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach

Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach

Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach  
Wszystko było jak w dawnych czasach

IX.

ZAWCZEŚNIE.

**P**oranek kwietniowy, do wiosnyśmy chętni,  
A ziemia zamarzła chrupoce i tętni,  
Pod murem lodowym śpi Niemna odnoga.

A wzywa skowronka już praca.

Wstał, przeczuł, że zima skończyła się sroga,  
Z modlitwą poranną poleciał do Boga,  
Z błogosławieństwem powraca.

Na szarym zagonie, nim ciepło zawionie,  
 Skowronku zatrzymaj swe pieśni!  
 Rolnicy z pługami iść jeszcze nie mogą,  
 Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?  
     Zawczasie skowronku, zawczasie!

Poeto! napróżno twój zapał się skłania  
 Opiewać i wiosnę i dzień zmartwychwstania,  
 Grób jeszcze Chrystusa opłakać należy  
     I całun śniegowy nad wiosną.  
 Zachowaj na potem twój śpiewek tak świeży,  
 Aż młodsze uczucie w pierś ludu uderzy,  
     A kwiaty na łąkach wyrosną.

A w skrzepłem ich łonie, nim życie zawionie,  
     Zachowaj poeto twe pieśni!  
 Wszak pieśni tryumfu wysłuchać nie mogą.  
 Dla kogo twój śpiewek? zachęta dla kogo?  
     Zawczasie poeto, zawczasie!

Poeta i ptaszek śpiewacy rozgłośni,  
 Zaledwie uczuli, że w piersiach się wiosni,  
 Próbują i tężą swój zapał śpiewaczy,  
     Choć wichur zadyma im płuca.

O! śpiewak szczęśliwy że wiosnę obaczy,  
 Niepomny że zima, że próżen słuchaczy,  
 Nadziei i pieśń nie rzuca.

— „Na sercu tak lubo, precz zimna rachubo!  
 Śpiewajmy, bo przestać boleśnie.  
 Czekajcie do chwili, któż maj nam umili?  
 Zawczasie, śpiewacy, zawczasie!

— Niepłonne śpiewanie, niepłonna zachęta;  
 Bo głos *Alleluja!* zahula na święta.  
 Oracze do siejby gotują swe pługi,  
 My drogi gotujemy zarano.  
 Rozgrzejmy tymczasem lodowe szarugi,  
 Obudzim, ożywim i serca i smugi.  
 Nam wiosnę ogłosić kazano.

Gdy znikną już szrony, nasz zawód skończony,  
 Ci, co wam wróżyli przedwcześnie,  
 Już sami wypoczną, ku ziemi lot skręcą,  
 I wiosnę i lato dla siebie poświęcą.  
 Słowiki! dokończcie ich pieśnie!

Ja mała ptaszyna mam piosnkę w mém łonie,  
 Śpiewam ją z rozgłośnym wyrazem,

Modlę się do nieba i jedno wciąż dzwonię,  
 By zboże wyrosło na moim zagonie,  
 Gdzie domek złożyłem pod głazem.

Modlę się, rolnikom o deszczyk ciepławy,  
 Ach! kiedy nie gęste i kłosa i trawy  
 To orzeł me guiazdo spostrzeże!  
 Rozbudzam oracza, ten idąc przy sosze,  
 Słucha mej piosenki, wie o co ja proszę,  
 I swoje dołącza pacierzel“

Tak śpiewał skowronek aż z głębi,  
 I roił nadzieje szczęśliwe.  
 Posłyszał piosenkę słuch bystry jastrzębi,  
 Drapieżca spadł gromem na niwę;  
 Krew bryzła na trawę, i piórka szarawe  
 I życie minęło jak we śnie.  
 Już orzą sielanie, lecz głucho na łanie,  
 Bo zginął skowronek zawczasie!

„Na jawie tak rzewnie, a we śnie tak błogo,  
 A w piersiach coś iskrzy się, budzi,  
 To pieśni przecucia, co jeszcze nie mogą  
 Przyodziać się w kształty, niebieską pójść drogą,  
 I w słowach wypłynąć do ludzi.

Uroczo, radośnie, przeczuwam przedwiośnie,

Lecz sroży się zima straszliwa,

Choć serce coś śpiewa, wiatr tony odwiewa,

I znowu je w sercu skowywa;

Jam przecie poeta! tchnę przeciw zawiei,

I słowem ognistém lód skruszę;

Zaśpiewam modlitwę i wnet po kolei,

I w domku człowieka, i w polu, i w kniei

Rozwiośnię i kwiatki, i duszę,

O! i sam odetchnę dziecinniej i słodzię,

I znowu się życiem rozżarzę,

Zabłądę w zarośle, popłynę na łodzi,

Obejrzę jak zboże, jak kwiatek mi wschodzi,

Z oraczem na polu pogwarzę;

Tam pasterz w róg brząka, tu słyszę skowronka,

Serce się rozmarzy, roześni,

Natura, swoboda, natchnienia mi doda

I nutę zaszczepli do pieśni.

Tak śpiewak miał wiosnę wywołać zieloną,

Podszłuchał go wicher daleki;

Wymierzył pęd w głowę, marzeniem ogniową,  
 Szarugą i śniegiem uderzył mu w łono,  
     I zakął je lodem na wieki.  
 I oto przy trumnie, lud ciśnie się tłumnie  
     I dzwonek kołata boleśnie,  
 I w jamę ksiądz tłoczy, śnieg z piaskiem na oczy  
     Poety, co śpiewał zawcześnie.



## X.

# NA WÓLDZE.

(Dziecinne lata Wależnikowa)

*przekład z Niekrasowa.*

**P** sie mój! co ciebie do pośpiechu skłania?  
Skaczesz na piersi, a szerść ci się jeży;  
Dość jeszcze będzie czasu do strzelania;  
Dziwność, zem przyrósł do Wołgi wybrzeży.  
Już od godziny spoglądam na wodę  
Chmurny, bezwładny jako głaz na grobie;  
Przyszły mi na myśl moje lata młode,  
Niechże tu w ciszy przypomnę je sobie,

Jestem jak żebrak, który idąc drogą,  
Jeszcze się waha i sam siebie pyta:  
Tu dom ubogi, tutaj grosz dać mogą,  
Tu dom bogaty, jałmużna sowita;  
Ale stróż domu bogatego człeka  
Nie dał jałmużny, a więc poszedł dalej.  
Jeszcze bogatszy dom widzi zdaleka,  
Ztamtąd go ledwie kijmi nie wygnali.  
Gdy tak przechodził od chaty do chaty,  
W całej go wiosce chybiła jałmużna;  
Co miała przyjąć zasiłek bogaty,  
Wisi u boku jego sakwa próżna.  
Wtedy do chaty ubogiej powraca,  
Co pogardliwie minął w pierwszej chwili,  
Tutaj przynajmniej nie zawiodła praca,  
Skórynkę chleba suchego rzucili.  
Jak pies go schwycił lękliwą paszczką,  
I poszedł gryźć go daleko od drogi.  
Tak ja, wzgardziwszy co było pod ręką,  
Z młodu rzuciłem rodzicielskie progi,  
I nadaremnie byłem wstrzymywany:  
Za nic głos braci, łzy matki rzęsiście,  
Daremnie szumiał mój las ukochany;  
Że niemasz niebios nad niebo ojczyste,  
Nigdzie nie gości taki spokój błogi,

Jak na rodzinnym zagonie, lub łące.  
 Też same słowa przyjaznej przestrogi .  
 Mówiły fale tutejsze szumiące;  
 Lecz nie wierzyłem głosom tajemniczym,  
 Bo mię znudziła rodzicielska strzecha,  
 Tutejszy spokój niekupiony niczém,  
 Wcale się sercu memu nie uśmiecha.

Czy niepotrzebny, z mą chęcią usłużną  
 Styrałem siły w daremnój fatydze,  
 Lecz wiem że życie zabiłem na próżno,  
 Sam dawnych marzeń przed sobą się wstydzę.  
 Gorące serce poraniłem srodze,  
 Straciłem siły w rozprawie najżywszej,  
 Dziś z pola życia zawstydzony zchodzę,  
 Sobie i bliźnim nic nie uczyniwszy.  
 Powracam nazad i kołacę z trwogą  
 Do drzwi, gdzie młodość przepędził ubogą:  
 Nie wspominajcie nitki marzeń złotój,  
 Co duch zuchwały wysnuł pokryjomu,  
 Nie wspominajcie łez głupiej tęsknoty,  
 Które wylałem, że mi nudno w domu;  
 Może znajdziecie jakie szczęście stare,  
 Niechaj wspomnienia czémkolwiek umilę,  
 W samego siebie gdym utracił wiarę,  
 Tylko dziecinne nie przykre mi chwile.

## II.

Żyłem jak wielu wpośród głuchoj dziczy,  
 A wielka rzeka była od nas blisko,  
 Gdzie czasem kulik na błocie zakrzyczy,  
 Lub oczeretem zaszumi bagnisko.  
 Sznurem, łańcuchem, jakieś ptastwo białe  
 Poważnie sobie siedziało nad rzeką,  
 Poza wodami spojrzenie wytrwałe  
 Dostrzegło góry, co gdzieś tam daleko....  
 Las nieskończony, ciągnął się las siny  
 Zasłaniał zachód gdzie jutrzienka blada,  
 Gdzie słońce ziemskie obiegłszy krainy,  
 Na wypoczynek do snu się układa.

Bojaźń mi była od dziecka nieznana,  
 Bom wszystkich ludzi uważał za braci,

I nie wierzyłem w obecność szatana  
Który się snuje w widomój postaci.  
Raz mi troskliwa piastunka powiada:  
„Nie biegaj w nocy... bo wilków bez liku,  
Nie chodź do sadu, tam czartów gromada  
Po całych nocach hula przy strumyku!“  
Tego mi trzeba: ledwie noc nastanie  
Już ja do sadu pobiegłem ochoczy,  
Nie iżbym wielce smakował w szatanie,  
Ale mi pilno oglądać go w oczy.  
Idę odważnie.... lecz noc coś się szerzy,  
Coś mi z pomroki groziło widocznie,  
Coś mi się zdało, że cały świat Boży  
Patrzy co dziecię bezrozumne pocznie?  
Ale téż była wyprawa nieskora,  
I stygła w sercu żarliwa ochota.  
Wrócę do domu, póki jeszcze pora,  
Bo szatan może zaciągnąć do błota,  
I każe mieszkać na głębinach wody.  
Lecz nie zraziły strachy tajemnicze.  
Ponad strumieniem igra księżyc młody,  
I w jego nurtach przegląda oblicze  
W odbiciu wody powisłe nad darnią,  
Czernieją drzewa w posepnej pomroce,  
Ale szatanów, choć szukaj z latarnią,

Zaden nie piśnie, ani zachychoce.  
Obszedłem strumień raz drugi i trzeci,  
Ale szatana jak niéma tak niéma;  
Patrzę w gałęziach, może okiem świeci,  
Albo się w zielsku wybujałem trzyma.  
Gdyby się ukrył z jakiegokolwiek strony,  
Czyżbym po rogach nie poznał go właśnie;  
Niemasz nikogo... odszedłem zgryziony,  
Słuchając jeszcze że może gdzie szasnie.  
Gdym się tak pilnie przypatrywał czartu,  
Cała noc Boża przeszła nadaremnie.  
Lecz gdyby wtedy dla płochoego żartu,  
Wróg czy przyjaciel zakrzyknął nademną,  
Lub gdyby puszczyk czy sowa obrzydła  
Co ją spłoszyłem krokami mojemu,  
Nad moją głową zaszumiała w skrzydła,  
Trupaby mego znaleźli na ziemi.  
Tak przez gorącą ciekawość dziecinną,  
Próżne obawy we mnie się tłumiły;  
Takich walk serce staczać nie powinno,  
Bo nazbyt wiele wydzierają siły.  
Tak zmarnowawszy cały wiek mój młody,  
Czułem jak we mnie natura się zmienia,  
Już nie szukając zawad i przeszkody,  
Szedłem spokojnie drogą nawyknięcia.

Ta mię na wszystkie prowadziła strony:  
 I nieraz szedłem po bezdrożu dzikiem,  
 Aż niewolnikiem człowiek urodzony,  
 Znowu na starość został niewolnikiem.

## III.

O matko Wołgo! teraz mi wypadło  
 Po tylu leciech powitać tve fale.  
 Jam się odmienił, a ty jak zwierciadło,  
 Po dawniejszemu wyglądasz wspaniale,  
 Po dawniejszemu długa i szeroka.  
 Klasztor na wyspie przechował się jeszcze,  
 Łzy młodociane płyną mi do oka,  
 I w sercu czuję młodociane dreszcze,  
 Po dawniejszemu stary dzwon kołata,  
 Wszystko tak samo.... a gdzież tamte lata?

Blisko południe.... a słońce tak pała,  
 Że stopą w piasku wytrwać niepodobna;  
 Zdjęła rybitwów drzymka ociężała,  
 Na brzeg się skupia ich drużyna drobna.



Polne koniki skrzekocą na trawie,  
 Przepiórka czasem wyszczebioce słowo,  
 Ale tak cicho, jak gdyby w obawie,  
 Że przerwą Wołgi dumkę południową.  
 Bajdak z towarem pomalutku płynie,  
 Tam młody flisak szczerze a po prostu,  
 Stroi zaloty ku pięknej dziewczynie,  
 Uciekającą goni wzdłuż pomostu,  
 I z całej siły pędzi za dziewicą,  
 I głośno krzyczy poklaskując w dłonie:  
 „Poczekaj tylko!... czekaj swawolnico!  
 Otóż dogonię.... dogonię... dogonię!“  
 Ot i dogonił... ujął postać drogą,  
 Dźwięknął ognisty całusek nad wodą;  
 Nie całowałem tak w życiu nikogo,  
 Choć i ja miałem moje przeszłość młodą.  
 Miejskich piękności całunki pieszczone  
 Nigdy tak duszy nie upoją błogo.  
 Usta rumieńcem krasnym namaszczone,  
 I dźwięków takich wydobyć nie mogą!  
 Wśród takich marzeń czując życie nowe,  
 Jam się zapomniał, uniesiony szalem,  
 Sen i znużenie obciążały głowę,  
 Wtém koło siebie jęki usłyszałem:  
 Orszak bajdacznej czeladzi ponury

Ciągnie, ku ziemi pochyliwszy głowę,  
 Nogi ich grube opasują sznury,  
 Zamiast obóvia, sandały lipowe,  
 Ponuro w uszach jęczały ich słowa,  
 Gdy się do pracy naglili wzajemnie.  
 Była to, zda się, pieśń pogrzebowa,  
 Młode wspomnienia znów zagrały we mnie.

O Wołgo moja, moja ty kołysko!  
 Jak ja cię kocham, jak myślami pieścę!  
 Zaledwo jutrzni zapłoni ognisko,  
 Ja się ocykam, gdy wszyscy śpią jeszcze.  
 Ledwie bywało na błękitnej fali,  
 Żłotem i różą światelko zaświeci,  
 Już mię nad rzeką rodzimą zastali;  
 Pomagam ciągnąć rybakom ich sieci,  
 Lub z rybakami hulam na czółenku,  
 Lub na ostrowach z karabina pałę.  
 Pnąc się po krzakach, sił nie mając w ręku,  
 Nieraz na żółty piasek się powaleę,  
 A podrzucając kamyki po wodzie,  
 Spiewałem piosnkę całą piersi siłą,  
 Spiewałem pieśnię o mojej swobodzie.  
 Rzucac téj strony ani mi się śniło,  
 Tutaj sądziłem że wiek mój ubieży.

Na żółtym piasku albo na czółenku;  
 Ale uciekłem od Wołgi wybrzeży,  
 Od biednych flisów nędzarskiego jęku;  
 Dawno go moje nie słyszały uszy  
 Jakby wołania przeszłości dalekiej....  
 Och raz, pamiętam! tak straszy, tak głuszy,  
 Żem chciał go zbadać i szedłem wzdłuż rzeki.  
 Znużeni flisi w południowej chwili  
 Przynieśli kocioł by zgotować strawę.  
 Na stosie łomu ogień naniecili,  
 I taką z sobą prowadzą rozprawę:  
 Jeden z nich mówi: „Ej, doloż ty nasza,  
 Prędkoż my w Niżnim staniem Nowogrodzie,  
 Daj Boże dobrnąć na dzień Eliasza,  
 A może zresztą i dopchniemy łodzie.“  
 Drugi odpowie: „och jak to niemiło,  
 Gdy w drodze rany rozjątrzać się zaczęą,  
 Gdyby mi tylko ramie się zgoiło,  
 Jak niedźwiedź szlejkę ciągnąłbym bajdaczną,  
 A gdyby jutro umrzeć sobie ładnie,  
 To jeszcze lepiej byłoby dla człeka.“  
 Tak mówiąc, na wznak na ziemi się kładnie,  
 A jam nie pojął na co on narzeka.  
 Ale ów nędzarcz, co jęczał daremnie,  
 Znekany pracą, złamany chorobą,

Już nie odstąpił swém widmem odemnie,  
 Oto i teraz widzę go przed sobą,  
 Na nim świeciły ubogie łąchmany,  
 Od wszystkich ludzi wyglądał inaczej,  
 Na twarzy widać ból niepokonany,  
 A w oczach skarga spokojnej rozpaczy.

Późnym wieczorem do domu przychodzę,  
 Czapkę gdzieś w piasku zostawiwszy z głowy,  
 A kogom spotkał w domu czy na drodze,  
 Pytam co znaczą te flisów rozmowy,  
 Przez sen bredziłem ranniejsze widziadła;  
 „Niechaj cię Pan Bóg trzyma w swój opiece,  
 Zostań!“ mówiła piastunka wybladła,  
 Lecz ja nazajutrz już byłem na rzece.

I Bóg wie wtedy co się ze mną stało,  
 Rodzinnęj rzeki nie poznałem zgoła,  
 Szedłem po piasku stopą ociężałą,  
 I moja wyspa nie była wesoła.  
 Nadbrzeżne śpiewy znajomego ptaszka,  
 Brzmią jakby nuta ostra i fałszywa,  
 A ulubiona fal cichych igraszka,  
 Muzyką wdzięczną już się nie odzywa.

I ciężki kamień zawałił mi łono,  
I łzy do oczu lunęły nawałem,  
I po raz pierwszy mą rzekę rodzoną,  
Rzeką boleści i smutku nazwałem.

Co ja marzyłem wpośród nocnej głuszy,  
Com ja przysięgał w tajemniczej chwili,  
Niechaj na wieki zamiera w méj duszy,  
Bo jeszcze ludzie śmiechemby okryli.

Myśli dziecinne!... gdyście próżna mara,  
Czemu was ludzie zapomnieć nie mogą?  
Czemu wasz wyrzut, jakby zbrodnia stara,  
Nad sercem naszym pastwi się tak srogo?

## IV.

Pochmurny flisie z pochyloną głową,  
 Jak niegdyś dzieckiem marzyłem cię we śnie,  
 Tak samo teraz widzę cię na nowo,  
 Zawsze mi śpiewasz jednostajną pieśnię;  
 Zawsze zaprzężon do twój ciężkiej szlei,  
 Zawsze na twarzy jakaś bladość chora,  
 Zawsze ten samy uśmiech bez nadziei,  
 Zawsze.... bez końca ta sama pokora.

. . . . .  
 Przez lat czterdzieści w pocie swego czoła.  
 Snuł się nad Wołgą po piasków obszarze,  
 A umierając, sam nie wiedział zgoła,  
 Co swojej dziatwie w spuściznie przekaże.  
 Ani twój ojciec, ni ty nie myślicie,  
 Bajdacznój szlei gdy naciska pęto,

Czémby na świecie gorsze było życie,  
Gdyby twych cierpień trochę ci ujęto.  
Jako twój ojciec tą samą koleją,  
Bez żadnej wieści ty zejdziesz ze świata,  
I pamięć twoję złe wiatry zawieją,  
Jako na piasku twój ślad się zamiata.  
Dokąd ty dążysz nieszczęsny człowieku,  
Skuty w twém jarzmie jak więzień w kajdany,  
Też same słowa powtarzając z wieku,  
„Raz!... dwa!...“ posuwasz krok niezmordowany,  
Jęcząc boleśnie „ej biada mi, biada!“  
A głowa twoja w smutny takt opada.

Czemby na świecie gorzej było życie  
 Gdyby twych cierpień trochę ci ujęło  
 Jako twój ojciec i sąsiad koleja  
 Bez żadnej wiedzy ty się błądasz ze światem  
 I bieżąc swoje nie wiatry kawię  
 Jako na piechu swój ślad się kamizata  
 Dokąd ty dątasz niezachęty człowieku  
 Szły w twym jarmie jak wzięty w kajany  
 Toż same słowa powtarzają z wieku  
 „Błąd... błąd... powważ krok niezmierny”

„Drogi koleś”  
 A tydzień twój to...  
 Tak...  
 Z...  
 Z...  
 Z...  
 Z...



## XI.

# JUTRZENKA.

Gawęda z sobą.

**W**idzę mospanie jutrznię różową,  
I kiwam głową!  
Porwał śmiech pusty, komedia szczerą  
Serce rozdziera  
Jam stary wróbel, i nie dziś przecie  
Żyję na świecie;  
I wiele, wiele w życiu mém całym  
Jutrzni widziałem.

Na jasnym niebie, na ciemnej ziemi,  
 Z barwy złotemi,  
 Lub w siedmiorakich kolorach tęczy,  
 Jutrznia się wdzięczy;  
 I dobrych rzeczy wiele przyrzeka,  
 Chcąc zdurzyć człeka,  
 Ej! to zalotna tylko niewiasta,  
 Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili  
 Biędę przebyli,  
 „Wkrótce nie będzie, zobaczysz dziadu,  
 Nędzy ni śladu!“  
 Znow obietnice, znowu nadzieje,  
 Serce się śmieje,  
 Ale ich czekać kolój tak długa,....  
 Najniższy sługa!  
 Już zawstydzona przeszłość surowa,  
 W ziemię się chowa.  
 Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,  
 Wierz panie bracie!  
 Dla zbolatego serca osłoda  
 Jutrzienka młoda,

Lecz jasne słońce ze swą opieką  
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży!

Wierzą niektórzy!

Chociaż nad górą ściele się nisko

Czarne chmurzysko.

A jak się wróci chmura burzliwa

(Co często bywa),

Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,

Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:

„Będziem mieć ciszę.“

Błogosławiony kto dziś ma wiarę,

We wróżby stare!

Co to!... nietylko bredzą bezkarnie

Nasze drukarnie,

I w Berdyczowie kalendarz słyszę,

Androny pisze.

Ej doloż moja! przyszło się dosyć

W życiu przenosić!

Słońca mi trzeba, i powiem szczerze

Gwiazdom nie wierzę...

Niech sobie widzą niewinne dusze,

Na wierzbie grusze,

Niech sobie zefir przebiega błonie,

Ja go nie gonię!

Wierzę niekiedy!

Choć nad górą ściele się nisko

Chyba chmurzysko.

A jak się wróci chmurzysko

(Co często bywa)

Wstrząsnie ziemię, doznasz zanie-  
cia i nieszczęścia.

Wkrótce nie będzie, zobaczysz śladu,

A tu wyciąga kalendarz dzień

Wszystko mi się dzieje

Biogeochemia jako dzieło wiatru

Wszystko w wódzy stało się

Co to... nie było przedziwnie

Nasze bractwo

I w Białymostku kalendarz się

Wszystko w wódzy stało się

Wszystko w wódzy

Wszystko w wódzy stało się

Wszystko w wódzy

Wszystko w wódzy stało się

Wszystko w wódzy

## XIII.

## CUIPO DISSOLVI.

**N**a co mi Panie ta suknia z ciała,  
 Co mi swobodną duszę skowała?  
 Skowała w pancerz, ciśnie i gniecie,  
 I zatrzymuje na ziemskim świecie.  
 Ja jestem duchem.... duchem, nic więcej...  
 Po co mam chodzić w szacie zwierzęcej?  
 Moje radości, moje katusze,  
 Na dzwonku serca wydzwaniać muszę.  
 A nieśmiertelnych myśli osnowa,  
 Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedyś mię stworzył wolną istotą  
 Między występkiem, a między cnotą,  
 Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba,  
 Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?  
 Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,  
 Czyż tylko ciało braterstwo spleta?  
 Czyż tortur ducha nie masz w Twém ręku?  
 Czyż nie rozumiesz bólów bez jęku?

Dałeś mi mowę, cóż ona znaczy?  
 Czyż choć cień myśli mej wytłumaczy?  
 Dałeś mi zmysły, cóż ich powaby?  
 Każdy ułomny, każdy z nich słaby.  
 Każdy kłamliwy w swojej osnowie,  
 Żaden mi ściślej prawdy nie powie;  
 W uchu i w oku, w smaku i woni,  
 Tylko się samo złudzenie chroni,  
 Tylko przeszkoda duszy człowieczej  
 By doskonałej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości,  
 Spada korona niezależności;  
 Duch musi stawać na ziemskiej mierze,  
 Ziemską namiętność swe prawa bierze,

Wysokie żądze giną bezpłodne,  
 W zamian rozkoszy, co mnie niegodne,  
 Głód i pragnienie, zimno i spieka,  
 Dają poczucie nędzy człowieka.  
 Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,  
 Próżność piersiową klatkę wydyma,  
 Nienawiść ręce uzbraja w noże,  
 Miłość, zbydlęca co było Boże.  
 Tak... nawet miłość— uczuć królowa,  
 Tutaj świętości swój nie dochowa.

A zawsze bólem serce się kraje,  
 Ale ta boleść chluby nie daje;  
 Ja moje ziemskie spłacając długi,  
 Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi!  
 Kiedy mię ziemskie cierpienie zmoże,  
 Z więzów cielesnych wyrwiesz mię Boże,  
 Ale już dusza nie będzie młoda,  
 Już jej przeminie dawna swoboda,  
 Bo ją bolesna pamięć przygniata,  
 Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

Czy kapłan świętą porusza je dłońią,  
 Czy siwy mędrzec pobudza do cnoty.  
 Głos ich marnieje, bo ciżba zbląkana  
 Nie słucha głosu mędrca i kapłana.

Wszakże sądzę, że jest to  
 Wzajemnie rozkoszy, co mi nie niegodne  
 i śród i przagnienie, zimno i spieka,  
 Daję poczenie nędy, człowieka.  
 Zakosztować duszę przy ziemi trzymam,  
 Próżność pierścionka i kłótkę w rękach;  
 Niezawieszę ręce w niozę.  
 Miłość, spójność co było Boże.  
 Tak.. nawet miłość — uczuć królowa,  
 Tutaj świętości swej nie dochowa.  
 Daję mi miłość, co ona znaczy?  
 Czyż mi miłość jest takim wytworem?  
 A zawsze dół się kłóć się  
 Ale ta miłość chłód nie daje;  
 Ja moje ziemskie spiacznie  
 Ciężko mi ciężkie cierpienie  
 Kiedy mi ziemskie cierpienie  
 Z wieszów ciężkich wyrzucił mi Boże.  
 Ale już dusza nie będzie miłości,  
 Już jej przemienie dawna awodzą,  
 I to już bolesna pamięć przyniła.  
 Grzechu i cierpienia ziemskiego świata.  
 W takich warunkach świata i ciała,  
 Spada koronę niezłomności;  
 Trudno jej stawiać na ziemskiej mierze,  
 Ziemską miłość swą światu nie odda.



lecz Bóg troskliwy o poprawę ludzi,  
 Nim za występki ich piemie zatraci,  
 Jeszcze proteki w społeczność budzi.  
 By głosem bratnim wołali na pracę;  
 Mędrzec ich lęka, lecz braterskie słowo  
 Słinięj porusza ich duszę pierwszową.

## XIII.

## DZWONY NA GŁUCHYCH.

DO . . . . .

**D**zwony na głuchych dzwoniły i dzwonią,  
 A przecież ludzkiej nie budzą głuchoty,  
 Czy kapłan świętą porusza je dłonią,  
 Czy siwy mędrzec pobudza do cnoty.  
 Głos ich marnieje, bo ciżba zbłąkana  
 Nie słucha głosu mędrca i kapłana.

Lecz Bóg troskliwy o poprawę ludzi,  
 Nim za występki ich plemie zatraci,  
 Jeszcze proroki w społeczności budzi,  
 By głosem bratnim wołali na braci;  
 Mędrzec ich lęka, lecz braterskie słowo  
 Silniej porusza ich deskę piersiową.

Dzwony na głuchych... o błogosławiony,  
 Komu Pan zostać swém echem pozwoli,  
 Dzwonić na sennyh, budzić czyn uspioiny,  
 Na samolubów, na ludzi złej woli,  
 Rozbić w przestrzeni siłą kołatania  
 Chmurę przesądów, co słońce zasłania.

W błogosławionój ziemi Palemona  
 W nieliczném pióra bojowników rzędzie  
 Witaj nam, witaj kapłanko natchniona,  
 Bóg Twoje słowa opromieniać będzie,  
 A Litwa sercem zrozumieć je musi:  
 I przejrzą ślepi, i usłyszą głusi.

## XIV.

## NIEMASZ NIEWIAST NAD SARMATKI.

**M**iłe dziecię, póki w kwiecie,  
 Póki oczki ogniem płoną,  
 Dziewczę z serca troskę zmiecie,  
 Twarz rozjaśni zachmurzoną.  
 Czy szybkimi biega kroki,  
 Czy szczebiocąc zbiera kwiatki...  
 Bo choć cały świat szeroki,  
 Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Gdy w dziewicę dziewczę wzrośnie,

Gdy swawola minie płocha,

Już w szesnastój życia wiosnie

Krasawica kogoś kocha.

W téj miłości skromne roki,

Tylko z lubym pragnie chatki....

Bo choć cały świat szeroki,

Niemasz niewiast jak Sarmatki.

Tą miłością świat otoczy,

Ojca, matkę, dawne dzieje,

Kto w jój zacne spojrzy oczy,

Sam na sercu pozacnieje

To kochania są uroki....

Cud po innych krajach rzadki....

Bo choć cały świat szeroki,

Niemasz niewiast nad Sarmatki.

W domu męża się zasklepi

Już jój wszystko na tym świecie;

W bojach życia męża krzepi,

Własną piersią karmi dziecko,

Niemowlęce stawiać kroki.

Miłość kraju wpaja w dziatki....

Bo choć cały świat szeroki,

Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Czy w boleści, czy w radości,  
 Nie zlatuje myślą z nieba,  
 Miłém słówkiem wita gości,  
 A żebraka kęsem chleba.  
 Czy to pogrzeb, czy wesele,  
 Wspiera ludu niedostatki...  
 Bo choć niewiast w świecie wiele,  
 Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Gdy podeszłe przyjdą lata,  
 Czy to w domu, czy w świątyni,  
 Do pacierza ręce splata,  
 I za wnuków modły czyni.  
 Zacną postać krzyżem ściele  
 Za pomyślność swój gromadki...  
 Bo choć w świecie niewiast wiele,  
 Niemasz niewiast nad Sarmatki.

Morfeusz! skłoń mi oczy.

Niechaj jaki kraj aroczy

Zobaczę

Bledzi sobie ponad Nilem.

Ptazek zwany krokodylem.

I pjażę

Gdy w potoci, czy w radości,  
 Nie zlatuje myśl z nieba,  
 Już w słońcu wita gości,  
 A kępną kępną chlebem  
 Czy to pogrzeb, czy weselie,  
 Wąpierz ludu niechodźli...  
 Bo choć niewiast w świecie wiele,  
 Nie masz niewiast nad Sarmatki.

Gdy podasz przyjdzie lato,  
 Czy to w domu, czy w światy  
 Do pacierza ręce spłata,  
 I za wnuków modły czyni,  
 Xacną postać krzyżem ściana  
 Za pomyślność swej gramadki,  
 Bo choć w świecie niewiast wiele,  
 Nie masz niewiast nad Sarmatki.

W palcech się ażem upod  
 cię w tym an ektyzów jój już  
 W bojach ażem męga krzept  
 Własną imię karmić dziecię,  
 Niemowlę stawiać kroki,  
 Młode kręgi w dźwięki...  
 Bo choć w świecie wiele  
 Nie masz niewiast nad Sarmatki.

Bieży sobie ciche jagnię,  
Co się wody napić pragnie.

I pyta:

„Krokodylu! co się znaczy  
Na twym dziobku ixa rozpaczy.

Co świąta? XV.

— „Syrn owcy i barana!

## SEN I KABALA.

W mój poleści niś może,

Gdy odkryję, gdy otworzę

„Serduszko!

— „Powiedz mi, co o kabale  
I baranku dał słok chiży,

I ku czemu się przybliży

„Iż tak egiptak toś na kabale

I beczy:

„Niech praterskie moje łono,

Twoje duszę udreżono!

Wylęc  
**M**orfeuszu! skléj mi oczy,

Niechaj jaki kraj uroczy

Zobaczę!

Siedzi sobie ponad Nilem,

Ptaszek zwany krokodylem.

I płacze.

Nadzieję!

Bieży sobie ciche jagnię,  
 Co się wody napić pragnie,  
 I pyta:  
 „Krokodylu! co się znaczy  
 Na twym dziobku łąza rozpaczy,  
 Co świta?

— „Synu owcy i barana!  
 Twemu sercu litość znana,  
 Daj uszko.  
 W méj boleści ulżę może,  
 Gdy odkryję, gdy otworzę  
 Serduszko!“

I baranek dał skok chyży,  
 I ku niemu się przybliży,  
 I beczy:  
 „Niech braterskie moje łono,  
 Twoję duszę udęczoną  
 Wyleczy.“

I poufnie główkę schyla,  
 Aż się paszcza krokodyla  
 Zaśmieje.  
 Klapnął paszczą bez zachodu,  
 Pożarł baraniego rodu  
 Nadzieję!



„Tux... król... kralka... dama... walet...  
 Kto chciał szukać z serca zalet,  
 Był skazany  
 Krew spod serca wysnął sobie,  
 I napisał na tym grobie  
 „Zes parant!”

## XVI.

## II.

## KAMIENNE BOŻYSZCZE

Stara babka sny tłumaczy:

— „Powiedz babko co się znaczy

Sen taki?”

Babka na stół kładzie karty,

I zażywa po raz czwarty

Tabaki.

Starzec z kamienia ciosany.

Dziękuję ci, mój synu.

„Dzwonka... Czerwień... sens się splata,

Że nie z sercem idź do świata,

W drogę poznajki

Lecz z wiedzą;

Niech się zapał twój ostudzi;

A unikaj czułych ludzi

Z brwiów swych

Bo zjedzą.“

Ręce jak trójce zastygły.

„Tuz... król... kralka... dama... walet...

Kto chciał szukać z serca zalet,

Był skaran!

Krew zpod serca wyssał tobie,

I napiszą na twym grobie

Żeś baran!“

## XVI.

## KAMIENNE BOZYSZCZE.

**S**tarzec z kamienia ciosany,  
 Długo-brody, straszno-licy,  
 Siedział przyparty do ściany  
 W progu pogańskiej bóżnicy.  
 Na jego brodę, na głowę,  
 Zamróz nawieszał swe igły;  
 Z brwiów zwisły sople lodowe,  
 Ręce jak trupie zastygły.

Na silnych barkach u dziada,  
 Śnieg złożył ciężar niemały,  
 Na szacie co z nóg mu spada,  
 Fałdziste pręgi białaty.

Młodzi, swawolni duchowie,  
 W wesołej a pustej chwili,  
 Siadając na jego głowie,  
 Żarty ze starca stroili:  
 „Cóż z twoim stało się duchem?  
 Czego się trzymasz pochyło?  
 Rzeźbiarz chciał ciebie mieć zuchem,  
 Lud chce ukłęknać przed siłą.  
 Tyś zziębły. tyś cały w lodzie,  
 Coś nakształt ziemskich nędzarzy.  
 Lodu nie zgarniesz na brodzie,  
 Śniegu nie otrzesz z twój twarzy.

Patrz tylko na nasze czoła!  
 Krew w całej uderza sile,  
 Na sercu dumka wesoła,  
 U ramion skrzydła motyle!  
 A gdy latając szczęśliwi,  
 Trafim na mroźne powietrze,

Ruch skrzydeł krew nam ożywi,  
 I śniegi z piersi nam zetrze.  
 Zaskrzepną czasem rączęta,  
 Przychodzi płakać jak dziecię,  
 Bo i duch czasem pamięta,  
 Że są zawieje na świecie.  
 W duchu wre życia potęga,  
 Co bóle z serca rozproszy,  
 Kuty z kamienia ciemęga,  
 Nie dozna takich rozkoszy!“

Z kamiennój otchłani łona,  
 Dziad uroczyście odpowie:  
 „Dziatwo, ty dziatwo szalona!  
 Starėj urągasz się głowiel  
 Głowa, co wieki przeżywszy,  
 Zakamieniała w zadumie,  
 I w myślach uczuć ruch żywszy,  
 I chłody wytrzymać umie.  
 Wiekowe dumań mych cele,  
 Nie jednodniowa pogodał  
 A więc się troszczę niewiele,  
 Że lodem skrzepła mi broda.  
 Kiedy latając wśród ludzi,  
 Straciecie życia mamidła.

Gdy się wasz zapal ostudzi,  
 A chłód zawarzy wam skrzydła —  
 Siadźcie na głaz co was ziębi,  
 Ufając jego pociesze,  
 Z kamiennój piersi mój głębi,  
 Ciepłą wam iskrę wykrzeszę.“

XVII.

SZKOŁA WIEJSKA.

Gawęda.

I.

**N**a końcu naszej wioski stała się nowina;  
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy;  
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,  
Jeszcze berwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,  
Jeszcze okna niewbite złożono pod ścianą,  
A już wniesiono ławki, coś nakształt kościoła.  
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano,  
Tu będzie szkoła!...

Gdy się wasz zapal ostudzi,  
 A ciałół zawarzy wam skrzydła —  
 Siądacie na giaz co was ziębi,  
 Ufajcie jego porożu,  
 Z kamiennoji pieraj nięj gębi,  
 Ciepłę wasz wykrzeszaj.

## ZSKOŁA WIEJSKA.

### II.

Gawęda.

A może to i dobra, może zła nowina,  
 Kazał chłopców posyłać do tego tam czarta,  
 Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,  
 To niech sobie i chodzą rzecz kłótni niewarta.

Na końcu naszej wioski stała się nowina;  
 Stary nie wiechł, plakł czy śmiać się należał;  
 Popudowano chatę, jeszcze bez kominia,  
 Jeszcze betwir osnowyć nie przykurzył tyk święty,  
 Jeszcze okna niewbite złożono pod ścianą,  
 A już waisłone ławki, coś nakatał kocioła.  
 Tak świat światem tych dźwięków u nas nie słyszano,  
 Tu będzie szkoła...



## III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,  
Broda mu jak miotełka żółtawa wyrasta,  
Chodzi w krótkim kozuchu, kapeluszu dużym,  
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.  
Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie chłop, bo czyta;  
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;  
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,  
A z ludźmi by gawędził z rana do wieczora;  
Najął chatę u chłopca, jé co Pan Bóg zdarzy,  
I pędza do roboty mularzy i szklarzy,  
Sam pomaga w robocie choć mało co zna się;  
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

## IV.

Pobudowano szkołę, ksiądz w komżę ubrany  
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jęj ściany,  
Ponaspedzano chłopców, z nimi starsi przyszli,  
I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:  
O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,  
O świętym Kalasancie co sam uczył dzieci,  
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,  
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada.  
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:  
„Przyjdź Duchu Przenajświętszy! a ty ucz się dziatwo!”

## V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto jak w miasteczku,  
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,  
Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna,  
Patrzym.. co z tego będzie... Matko miłosierna!  
A co z miasta przyjechał ten jegomość nowy,  
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.  
Czyste skończenie świata! szaleją panowie!  
Ksiądz pleban z katechizmem, daj mu Boże zdrowie!  
A tamten różne rzeczy prawi na przemiany,  
Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany,  
Szkoła jak targowisko o wieczornej dobie,  
Kiedy to naród Boży podchmiela się sobie.

## VI.

Ot! od czego rozpoczął swe światu przysługi,  
Tysiączny osiemsetny sześćdziesiąty drugi.  
Wielki Twórco wszechświata! w jakież dalsze pole,  
Pchniesz jego dolę?...

## VII.

Wraca pacholeń wiejskie ze szkoły:  
 Musiał się uczyć, bo jest wesoły,  
 Musiał za pilność pochwałę dostać,  
 Bo zuchowato najeżył postać,  
 I tak sam w sobie odwagę nieci:  
 „Mówił ksiądz pleban, chłopskie wy dzieci,  
 Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę  
 Rozwielmożnicie waszą potęgę.“  
 Jeśli to prawda!.. mocny mój Boże,  
 To ja do książki tak się przyłożę,  
 I w dzień i w nocy, w wieczór i rano,  
 Aż zgłębię wszystko co napisano;  
 I wyrozumiem dwa a dwa cztery,  
 I będę pisać jak sztych litery.

Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze  
 I być wielmożnym sam sobie każę.  
 Lecz czémże będę na bożym świecie?  
 Pozostać chłopem nie można przecie,  
 Tylko nauka poszłaby marnie,  
 Te co mój ojciec znosząc męczarnie,  
 Wypasać woły nago i boso,  
 Chodzić z toporem, sochą i kosą,  
 Żyć łustą chleba, czarną i twardą,  
 I nierozumnych ludzi pogardą!  
 Tego niewarto...

I fajac męsa przez cały dzionek;  
 Pan fajac sobie, a żona sobie,  
 Trudno przemożić jedną osobie,  
 Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,  
 Lunc rzemiosło sobie obiorę.

## VIII.

Będę malarzem. Ot tak na zmianę,  
 Ja ekonomem sobie zostanę,  
 Będę bić ludzi... brzydko bić ludzi!  
 Będę za bracię znać ich kochaną,  
 Jak w katechizmie wydrukowano;  
 Będę mieć dla nich i miód i piwo,  
 Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo,  
 Zapuszczę wasy jak miotły duże,  
 Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,  
 I tabakierę ze srebrnej cyny,  
 I cztery konie tłuste mierzyny,  
 I kupię brykę, i wezmę żonę,  
 Co będzie nosić suknie czerwone,  
 Bogaty czepiec z białych koronek,

I łajać męża przez cały dzionek;  
 Pan łaje sobie, a żona sobie,  
 Trudno przenosić jednej osobie,  
 Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,  
 Inne rzemiosło sobie obiorę.

Te co mój ojciec znosząc męczarnie,  
 Wypasać woli: nago i boso,  
 Chodzić z toporem, sochą i kosą,  
 Żyć łuszą chleba, i wiarą,  
 I nierozumnych ludzi pogardzi  
 Tego niewarto...

Od tak na zmianę.

Ja ekonomem sobie zostanę,  
 Będę bic ludzi... przytko bic ludzi!  
 Będę za pracę znać ich kochanę,  
 Jak w katechizmie wykrukowano;  
 Będę miód dla nich i miód i piwo,  
 Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo.  
 Zapuszczę wsey jak mioty duże,  
 Sprawię czapczkę z kutasem w ręce,  
 I tabakierę ze srebrnej cwy,  
 I cztery konie łaste mierzwy,  
 I kupię butyk, i wezmę żonę,  
 Co będzie nosić suknie cztrwone,  
 Bogały czepiec z białyeh koronek.



## IX.

Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,  
 Co do kościoła robił żołnierzy.  
 Tacy wąsaczeli przy Pańskim grobie  
 Stoją z mieczami i drzemią sobie.  
 Mają kaftany robotą cudną,  
 Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno,  
 Lecz za to pióra, co zdobią głowę,  
 Jedno błękitne, drugie różowe,  
 Malarz im za to dał nogi krzywe,  
 Że mieli serce nielitościwe,  
 Pana Jezusa męczyli srodze,  
 Za to dziś stoją na jednej nodze,  
 Dobrze im za to... Będę malarzem,  
 I co umiemy, wtedy pokażem.

Nakupię pędzli i farb niemało:  
 Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,  
 I odmaluję wioszczkę naszą,  
 Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą.  
 Będzie kościółek, będą mogiły,  
 I organisty domek pochyły,  
 Będą gołąbki latać nad wieżą,  
 A brzołka wonią oddychać świeżą,  
 Rzeczka szczebiotać swoje paciorki,  
 I będą szumieć jodłowe wżgónki.  
 I będzie słychać z mojego płótna  
 Starój żebraczki piosenka smutna;  
 Szczekają kundle, kłócą się baby,  
 I stęka idąc dziadulko słaby;  
 A nad tém wszystkim obłok poranny,  
 I widać postać Najświętszej Panny:  
 Pana Jezusa mając na łonie,  
 Ku naszej wiosce wyciąga dłonie,  
 I błogosławi te nasze ściany,  
 I nasz kościółek stary, drewniany,  
 I naszą szkółkę, i nasze żyto.  
 I naszą łąkę kwiatem pokrytą,  
 I błogosławi każdego człeka,  
 Czy który zblizka albo zdaleka.

## X.

Bo tam z za góry ledwie widzianej,  
 Z chorągiewkami jadą hułany,  
 Boże! mój Boże! co za koniska,  
 Każdemu z nozdrzów ogień wypryska.  
 Sam będę zuchem, rada nie służy,  
 Już ja malarzem nie będę dłużéj!  
 Jak tylko obraz namalowany,  
 Siadam na konia i marsz w hułany!  
 Strój będzie złoty, lecz mniejsza o to,  
 Tu mi nie idzie o jasne złoto.  
 Wąs będzie duży, co mi wąsiska!  
 Lecz żołnierz mówią sławę pozyska, —  
 Jak wróci z krzyżem ku swojej strzesie,  
 Toż to rodzicom radość przyniesie!  
 Ojciec się spłacze, a matka powie:  
 „Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!

Zbierze sąsiadki i gospodarzy,  
 I mnie uścisną dziadowie starzy,  
 Wartoż dać życie za taką chwilę!...  
 A jak się czasem w mustrze pomylę,  
 Albo mi szablą zgruchoczą ramie,  
 Albo mi kula głowę odłamię,  
 Albo co gorsza, nie dopuść Boże,  
 Na boju strach mię przemoże,  
 I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,  
 A ludzie krzykną: „podłyż ty, podły!“  
 Toż dla rodziców z piasku przykrycie,  
 A dla mnie hańba na całe życie.  
 Nie!.. choć w hułanach dobrze się zdawa,  
 I piękny mundur i głośna sława,  
 Ale tymczasem to blask zwodniczy,  
 Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

## XI.

Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem,  
 A mnie tak pilno zostać człowiekiem!  
 Człowiekiem trudno... trudno hułanem,  
 A więc... cóż robić? zostanę panem.

Naprzód sprowadzę gromadę chłopią,  
 Niech mi na pałac gliny nakopią,  
 Za to odpiszę wszystkie szarwarki,  
 I dam każdemu wódki dwie czarki.  
 Potém przyjedzie architekt biegły,  
 I pobuduje pałac wysoki,  
 Co będzie wieżą straszyc obłoki,  
 Jako straszycło, co na wsi chłopi  
 Straszą w ogrodach wróbli z konopi.  
 Gdy matka pańskie młóciła zboże,  
 Niosąc jój obiad byłem we dworze,  
 Jak dziś pamiętam obiad był taki:  
 Wodna polewka i trzy ziemniaki.

Pan, co pilnował młocków w stodole,  
Jakoś polubił biędne pachole,  
Wziął mię za rękę, popieścił, gładził,  
I do pałacu swego prowadził.  
Cóż tam za rozkosz! jak miękkie ławy!  
Na każdej błyszczy tyftyk złotawy,  
Jakie zwierciadła! coś jakby w niebie!  
Zdaje się człowiek drażni sam siebie,  
A na obrazie, co aż mur łamie,  
Panny w kąpielu w złocistej ramie,  
A jakie okna!... jaka podłoga!  
Co to za przepych na miłość Boga!  
Tak samo wszystko u mnie urządzę,  
Będą i sługi, będą pieniądze,  
Będą i konie, będą powozy,  
I lulka długa jak gałąź brzozy,  
I będę gadać po europejsku,  
Ani po polsku, ani po chłopsku,  
Będę pić wino co strzela korkiem,  
Jeść marcypany z kwaśnym ogórkiem,  
A jak mi matka w stariej siermiędze,  
Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,  
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę,  
„Daj mi panoczku, daj zapomogę!“  
Mnie zarumienią ich smutne twarze,  
To z mego domu wypchnąć ich każę.

## XII.

Och, co ja bluźnię!! Jezusie Chryste!  
 Oddal odemnie myśli nieczyste!  
 Matko i bracie! Dziwne narowy!  
 Myśl nie człowieka przysła do głowy,  
 Grzesznik przed wami na klęczki pada,  
 Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada,  
 Jam grzech mój ciężki, pogardę z wami,  
 Gotów opłakać krwawemi łzami.  
 Niech rówiennicy, a swawolnicy  
 Błotem obrzucają mnie na ulicy!!  
 Na tę myśl ciężką lichy mnie wniosło,  
 Ej, grzeszne, grzeszne dumne rzemiosło,  
 Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu  
 Pieśń o Łazarzu i o bogaczu,  
 I przez nauki wzięte korzystnie,  
 Toż to się silnie bracie uściśni!!  
 Toż to nakupię elementarzy,  
 Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!

A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,  
 Rzecz: „Mój mały, *widać żeś człowiek*,  
 Idź uczłowieczać rodzinną wioskę!  
 Idź gładko orać skibę ojcowską!  
 Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,  
 Ze starą matką sadzić buraki,  
 A wśród buraków, wrzuc jój nieznacznie  
 Nasienie słońca co rodzić zacznie.  
 Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:  
 Idź, w Imie Ojca, Syna i Ducha!“

Otóż polecę, toż będą radził  
 Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,  
 Ja siał je będę na naszej niwie,  
*Pan Bóg nie Rymsza*, wzrosną szczęśliwie!  
 Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,  
 Wyrosną kłosa aż pod niebiosy,  
 A Pan Bóg niwę tutejszej włości,  
 Nakarmi chlebem aż do sytości!  
 Mnie to zawdzięczy cała gromadka,  
 Spłacze się ojciec, spłacze się matka,  
 Taka łza w sercu perłą powraca,  
 Toż moja książka!... toż moja praca!

Cbčiau mnie zrobić zachcienie wieszce  
 Panem, hułanem i czémś tam jeszcze,  
 Ja, choć bić będę głową o ścianę,  
 Chłopem zostanę!



## SPIS RZECZY.

	Str.
Słówko wstępne.	
I Melodye z domu obłąkanych . . . . .	1
II Dziewiczy wieczór (z Części Iéj) . . . . .	25
III Dziewiczy wieczór (z Części IIéj). . . . .	37
IV Niedziela . . . . .	51
V Śmierć słowika . . . . .	67
VI Babunia . . . . .	71
VII Księgarz uliczny . . . . .	73
VIII Co umiem nakreślić. . . . .	79
IX Zawczasnie . . . . .	83
X Na Wołdze (z Niekrasowa). . . . .	89
XI Jutrzenka . . . . .	105
XII Cupio dissolvi. . . . .	109
XIII Dzwony na głuchych . . . . .	113
XIV Niemasz wieści nad Sarmatki . . . . .	115
XV Sen i kabała . . . . .	119
XVI Kamienne bożyszcze. . . . .	123
XVII Szkoła wiejska . . . . .	127

A nie starłszy lay jeszcze z powiek,  
Rzecz: **SPIS RZECZY.**

Idź ułożoną bacznością  
Idź głębię serca okładał

92

Idź z dąbkiem ryblem, choć wdruc taki  
Się wioło wstępnie

1

Ze stary matki sadzą buraki  
I Miechów z domu obłąkanych

35

A wśród buraków strzyż, wokołach dół  
II Przewidy wieczór (z Części I)

37

Nasienie siewu od węgla siewnika  
III Przewidy wieczór (z Części II)

51

Ja cię przetrzęsę, ułóż mi  
IV Niechaj

67

Idź, w łonie Ojca Syna i Ducha  
V Śmieć słowizną

71

Idź, w łonie Ojca Syna i Ducha  
VI Babunia

73

Nasienie siewu od węgla siewnika  
VII Księżniczka

79

Ja cię przetrzęsę, ułóż mi  
VIII Co miem nakreślić

83

Pan Bóg w Rzyżu, w Rzyżu  
IX Nawieszanie

89

Nie zbądźcie, dajcie mi  
X Na Wolność (z Niektórych)

105

Wyrosną klucze pod kopyta  
XI Jutrzka

109

A Pan Bóg w Rzyżu, w Rzyżu  
XII Cupio dżiwo

113

Nakarmi dżiwo, dajcie mi  
XIII Dwój na głowie

115

Matek na głowie, dajcie mi  
XIV Niemasz nielast na szmaragd

119

Spiesz się, dajcie mi  
XV Sen i kłopot

123

Tak, tak, dajcie mi  
XVI Kanionu dożywać

127

Tak, tak, dajcie mi  
XVII Słowa wiersza

Chcesz w słońcu słońce słońca  
Chcesz mi słońce i miesiąc, mania

Ja, choć się słońce słońca

Chłopcu wstąpi

Biblioteka Uniwersytetu  
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 11222

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000171573